

ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

STEFAN ZEROMSKI
POPIOŁY
3 tomy, 860 stron.
Wydanie krajowe.
Cena 30/-, z przesyłką 31/-.
DO NABYCIA:
VERITAS FOUNDATION PUBL. CENTRE
12, Praed Mews, London, W. 2.

RIMIFON PICAZIDE
1000 tabl. Isonicotinic Acid Hydrasid £ 7.8.6
10 gr. Streptomycyny £ 2.4.0
CENY Z PRZESYŁKĄ DO POLSKI
WYSYŁA
APTEKA GRABOWSKIEGO
187, Draycott Avenue, London, S. W. 3.
Telefon: KENSington 0750.

ROK VI. LONDYN, 3 SIERPNIĄ 1952 R. Nr 31 (267)

ANTONI KAWCZYŃSKI (Kalifornia)

MUR, KTÓRY NIE SKRUSZAŁ

„The Wall“ amerykańskiego pisarza John'a Hersey'a jest książką o Żydach polskich. Treścią jej jest historia ghetta warszawskiego podczas ostatniej wojny. Opublikowana w Ameryce w r. 1950, nie tylko utrzymywała się przez czas dłuższy na liście t.zw. „best-sellerów“, ale i rozprawdzona została przez Book-of-the-Month Club, co automatycznie zapewniło jej zbyt dalszych egzemplarzy. Związek krytyków amerykańskich przyznał jej doroczny tytuł „najlepszego utworu beletrystycznego“ — mimo iż odzwyały się i głosy mniej entuzjastyczne: znany tygodnik „Time“ n.p. radził Hersey'owi, aby porzucił literaturę i powrócił do pisania reportażu, które uprawiał z takim powodzeniem (n.p. słynna książka-reportaż o bombie atomowej „Hiroshima“).

Polski czytelnik bierze do ręki książkę Hersey'a z zainteresowaniem więcej nawet: omalże z biłąjącym sercem. Toż to przecież cząstka historii Warszawy, jakże więc pozostać obojętnym wobec takiego tematu? Hersey, który — jako korespondent amerykański — przybył do Warszawy w zimie 1945 r. wraz z armią rosyjską, materiały czerpał rzecz jasna, z drugiej ręki: z zeznan nieuczestnych niedobitków ghetta, z dokumentów, opisów itd. Nasuwa się więc przede wszystkim pytanie, czy potrafił zorientować się w galimatiasie owych gorączkowych dni, w skomplikowanej nastrojach i napięciach, w namiętności i niegodziwości, które — właściwe naturze ludzkiej — panowały po jednej i drugiej stronie muru? Przecież „Mur“ swój Hersey zbudował dookoła kwestii dla Polaka bardzo drażliwej i delikatnej: kwestii żydowskiej. Żydzi byli ciałem obcym w organizmie Rzeczypospolitej, uważali się i uważani byli przez Polaków za takie; jest to fakt historyczny, mimo dobrej woli, z jaką w niektórych okresach historii Polski spotykały się, z jednej czy drugiej strony, raczej nieśmiałe próby asymilacji. Najazd hitlerowski wprowadził nowy motyw do tej symbolizacji: gospodarz i lokator tego samego domu, acz skłóconie ze sobą, stanęli wobec bandyty, co do którego intencji nie mogło być żadnych wątpliwości. Bandyta ten w dodatku zresztą wygrał atut dawnych waśni. Odpowiedzią mogła być tylko, winna była być, solidarność w ramach ludzkich możliwości. Czy było tak? Czy spełnił się swój obowiązek wobec Żydów, a Żydzi wobec nas? Czy zdaliśmy egzamin wobec historii? Ile Hersey wie o tym? Czy osmarował nas czy wybleił? Czy po prostu powiedział prawdę? Gdzie leży owa prawda?

Wobec podziwu godnego wysiłku autora, rekonstruującego z fragmentarycznych danych szeroko zakreślony obraz, wobec powagi jego tonu, wobec popularności książki i zainteresowania, jakie wzbudziła u milionów czytelników, warto spróbować odpowiedzieć na powyższe pytania.

Akcja „The Wall“ rozpoczyna się w pierwszych tygodniach okupacji niemieckiej. Powoli zaciąga się pięta niemiecka: pierwszym krokiem jest wprowadzenie opasek z gwiazdą Dawida, potem konfiskaty, ograniczenie wolności poruszania się, wysiedlenia, ustanowienie „Seuchensperr-Gebiet“ — strefy jakby zagrożonej zarazą — wzniesienie murów i wreszcie: ghetto. Jak dla ironii, Żydzi czują się początkowo bezpieczniejsi za murem: są przekonani, że Niemcy odizolowały ich pozostawiając ich w spokoju. Usiłują zorganizować jakieś życie w nowych, zwężonych ramach: wyrastają jak grzyby po deszczu nowe handele, warsztaty, sklepy, restauracje, a nawet i miejscowa rozrywkowa. Za pieniądze jest wszystko, szmugiel z „aryjskiej“ strony kwitnie, jedynie bledacy giną z głodu. Kto może, szuka wpływu i stanowisk, z Niemcami, przeciwko Niemcom, w Judenracie, w „administracji“, w policji żydowskiej, w podziemi, oby tylko przeżyć, oby tylko doczekać końca wojny i lepszych czasów. Szubrawstwo,

cheliwość, oportunizm najgorszego gatunku idą w parze z poświęceniem i przykładami bohaterstwa jednostek.

Tymczasem „wysiedlenia“, jakoby do stałych miejsc zamieszkania na wschodzie, w okupowanej Rosji, przeprowadzane są na coraz większą skalę. Tylko najbardziej tchórzliwi i ślepi mogą jeszcze udzielić się i udawać, że nie widzą tego, co się dzieje. Informacje z Oświęcimia i Treblinki są coraz dokładniejsze, obfitsze. Gigantyczny niemiecki przemysł śmierci działa, wytwarza vacuum, wysysa życie z ghetta niby olbrzymia pompa. Dopiero teraz skłócone frakcje i odiamy polityczne, socjalist, Bundowcy, komuniści, rozumieją konieczność solidarności akcji. Powstaje ŻOB, Żydowska Organizacja Bojowa. Podziemie przygotowuje się do ostatecznego, tragicznego, beznadziejnego oporu.

Gdy wiosną 1943 r. Niemcy przystępują do likwidacji resztek ghetta, padają strzały: rozpoczyna się powolne, półtoramiesięczne konanie niedobitków żydowskich. Tylko w ciągu pierwszych dwóch czy trzech dni opór żydowski ma jakiegoś ciekawego cechy zorganizowanej akcji. Potem to już tylko czystka, akcja policyjna bez konsekwencji. Niemcy systematycznie wypalają ghetto, wysadzają w powietrze bunkry. Schwytych Żydów albo rozstrzelają na miejscu, albo w „Umschlagplatzu“ na Stawkach wysyłają pociągami do Treblinki, gdzie — jak to później zezna przed Trybunałem Norymberskim jeden z zatrudnionych tam SS-manów — przeciętna długość życia nowoprzybyłego więźnia liczyła się na 35 minut. Tylko garstce udaje się przesiąknąć na aryjską stronę, a potem „w lasy“.

W tej opowieści Hersey'a, historycznie ściślej, wyczytać można łatwo to, co jest cechą najbardziej charakterystyczną tragedii ghetta warszawskiego: łatwość, z jaką Niemcom udaje się pociwoi wykryć ghetto, bezczynność, skłócenie i apatia masy żydowskiej dającej się poznać kawał po kawale, jak gdyby obezwładnionej bazylijszkowym wrokiem potwora hitlerowskiego. W r. 1942 ghetto liczyło jeszcze pół miliona mieszkańców. Solidarny opór takiej masy, nawet przy użyciu najprymitywniejszych środków obrony, byłby sprawił Niemcom niemało kłopotu, lokalnie jak i politycznie. Do wiosny 1943 r. Niemcy zdołali 90% tej liczby przepuścić przez „miłny śmierci“, w sposób tak dyskretny i giadki, iż na Zachodzie wiadomości o komarach gazowych traktowane były z niedowierzaniem. Dopiero gdy Niemcy przystąpili do ostatecznej czystki, garstka pozostałych Żydów zdobyła się na opór. Toteż dla strony niemieckiej likwidowanie „powstania żydowskiego“ nie sprawiło najmniejszych trudności, przeciwnie, dało im pożądaną okazję dla zrównania z ziemią część Warszawy, co i tak było punktem zakrojonego na szeroką skalę i obliczonego na daleką metę programu „urbanistycznego“, a mianowicie okrojenia Warszawy do rozmiarów małego miasteczka prowincjonalnego.

Hersey, co należy zapisać na dobro jego książki, bynajmniej nie przesadza rozmiarów ani znaczenia tej tragicznej walki, która właściwie — w przeciwieństwie do powstania warszawskiego w półtora roku później — była nie walką a jednostronną krwawą, brutalną rzezią. Wiemy dziś dokładnie, jakie były te walki rozmiary i sądzę, że cyfry te warto tutaj zanotować. Otóż według oficjalnych danych żydowskiej Komisji Historycznej, z którymi niżej podpisany miał okazję się zapoznać w r. 1945 w Krakowie, w walkach po stronie niemieckiej brało udział 5.000 SS-owców, wraz z mniejszymi oddziałami Wehrmachtu oraz policji niemieckiej „zielonej“, ukraińskiej, polskiej etc., dalej bateria ciężkich dział, oddział miotaczy piombami, kilka człgów (z których co najmniej dwa spalono). Po stronie niemieckiej należono 96 zabitych i

420 rannych, straty po stronie żydowskiej wynosiły 18.000 poległych w boju.

W istocie jednak sprawa przedstawia się nieco skromniej. Istnieje bowiem dokument, z którego odczytać można rozmiary akcji z zupełnie ścisłością: jest nim niemiecki ściśle poufny raport generała SS Stroopa, kierującego akcją w ghetcie, raport złożony rządowi Generalnego Gubernatorstwa, a ujawniony w Norymberdze (dokument Nr. 1061-PS). Według tego raportu, Stroop dysponował następującymi siłami, które zreżtą w miarę postępowania akcji były wycofywane jako już niepotrzebne: 700 SS, 250 „zielonej“ policji, 100 saperów Wehrmachtu, 340 policji litewskiej, oraz 370 policji polskiej. Co do policji polskiej, jako okoliczności łagodzącej przytoczyć należy, że sami Niemcy nieuczepnie im ufali i w akcji powyższej używali ich jedynie dla pilnowania murów. Nie umieszkało to oczywiście w niczym faktu, iż t.zw. „granatowa“ policja okryta się w owych latach wielkiej próby wstydem i hanbą. Dalej Stroop wprowadził do boju jedno działo (haubicę 10 cm), które strzelało z placu Krasiniego, jeden miotacz piombami, jeden człg zdobyczny, pochodzenia francuskiego, dwa samochody pancerne dla przewożenia wojsk, oraz trzy armatki przeciwlotnicze kalibru 2.28. O czolg Stroop raportuje, że raz powstrzymany został wążką granatów, a innym razem podpalony butelkami z benzyną, przy czym jednak pożałowano; po tym drugim incydencie człg był wycofany z akcji. Zabitych: 15 Niemców i 1 Polak (posterunkowy 8-go komisarstwa, Julian Zieliński). Rannych: 74 Niemców, 11 policjantów litewskich, 5 policjantów polskich. Niemiecka ocena strat żydowskich: około 7000 zabitych w boju, około 6000 zaginionych w pożarach i przy wysadzeniu bunkrów, w kanałach itd. Wraz z odesłanymi do komar gazowych, Stroop raportuje liczbę „na pewno“ zlikwidowanych Żydów: 56.065. Czas trwania akcji: 19 kwietnia do 24 maja 1943 r.

Raport Stroopa dziś jeszcze stanowi lekturę zapierającą dech w piersiach swoim nieludzkim okrucieństwem i zimną, omal rzeczową brutalnością. Jest przy tym rzeczą ciekawą porównać niektóre epizody, wspomniane w dziennych raportach Stroopa, z opisami Hersey'a; cyfry niemieckiego dokumentu nabierają w książce amerykańskiego pisarza rumieńców życia, statystyki załadniają się żywymi postaciami, niezapomnianymi i wzruszającymi, acz narodziłymi z wyobraźni autora. Chronologicznie równoleżność Stroopa i Hersey'a jest bez zarzutu. Weźmy n.p. dzień 8 maja. W tym dniu pada, odzisolowany od dawna, bunkier dowództwa żydowskiego. U Hersey'a: historia i samobójstwa, ostatni rozkaz komendanta zwalniającego żołnierzy z obowiązku posłuszeństwa, udana ucieczka małej grupki kanałami. Ta dantejska scena ma miejsce w ciemnym bunkrze, zatoczonym ludzmi w śmiertelnej trwodze, duszącymi się od gazu izawiającego, modlący się i miotający przekiętniastwa. U Stroopa: lakoniczna notatka, iż „opór zlamano szybko granatami ręcznymi i świecami dynamitu“ i że załóg bunkra stanowią 200 Żydów, z których 160 zastrzelono na miejscu, a 40 odstawiono do pociągu na Stawki. Raport dodaje, że „niektóre żydowski miały ukryte w sukniach rewolwery i odepieczone granaty ręczne“, usiłując — przed własną śmiercią — unicestwić choćby kilku Niemców. W rezultacie straty niemieckie tego dnia są wyjątkowo duże: 2 SS-manów zabitych, 2 rannych, 1 ranny wśród saperów Wehrmachtu. I jeszcze nota sardoniczna w raporcie niemieckim: akcja przygotowana była starannie, gdyż położenie ukrytego głęboko pod ziemią bunkra dowództwa żydowskiego znane było już od kilku dni. Wskazał je jeden ze schwytych bojowców żydowskich, łudząc się, iż zdrada okupi własne życie.

W dwa dni później, w dniu 10

maja, grupa około 40 wybitnych Żydów, przywódców i polityków, a wśród nich szereg pierwszoplanowych postaci książki Hersey'a, dokonuje udanego wyłamania się z kordonu niemieckiego. Ten niesłychany wyczyn możliwy jest tylko przy ściślej współdziałaniu „strony aryjskiej“. Stamtąd przybywa niejaki Kreszewski, Polak, robotnik kanalizacyjny, członek podziemia polskiego. On to przeprowadza grupę żydowską kanałami na miejsce spotkania z ciężarówką. W pewnej chwili Żydzi wynurzają się z kanału, siadają do ciężarówki i wywiezieni są w bezpieczne miejsce (do Łomianek). Wskutek jednak alarmu i strażów nadbiegających Niemców, ciężarówka rusza przedwcześnie, pozostawiając za sobą, w wiazu kanałowego, ostatniego z bojowców i zarzem głównego bohatera „The Wall“, nazwiskiem Dolek Berson.

Tak oto łonczy swoje opowiadanie Hersey i wydawać by się mogło, iż dramatyczny ten epizod narodził się w całości z wyobraźni pisarza. Zajrzyjmy jednak do Stroopa. I oto pod datą 10 maja czytamy: „Okolo godziny 9.00 ciężarówka podjechała do otworu kanału przy ulicy Prastej (poza murami właściwego ghetta. Przyp. autora). Bandyta przybył w ciężarówce rzucił dwa granaty ręczne, co było sygnałem dla czekających w kanale Żydów do wydośtania się na wierzch. Bandyci i Żydzi — pewna ilość bandytów zawsze znajduje się między nimi — ubrojeni w karabiny, krótką broń, oraz jeden karabin maszynowy, wspięli się na ciężarówkę i odjechali w nieznanym kierunku. Zarządzone natychmiast posig nieestety nie dał rezultatu. Ostatni człowiek w kanale, który pilnował wyjścia i miał za zadanie zamknąć przykrywki, został schwyty. Zeznał on, że ulica Prosta jest terenem ucieczki dla Żydów, którym w ghetcie właściwym jest „za gorąco“. Postanowiliśmy wobec tego zburzyć i podpalić również ulicę Prosta...“ Straty tego dnia: rannych 3 SS-manów. Zabitych 187 Żydów. Odstawionych na „Umschlagplatz“ 1.183 Żydów. Wreszcie Stroop podkreśla „znaczącą harmonię“, jaka przy akcji w ghetcie panuje między SS i Wehrmachtem. Nie zapomnijmy o tym szczególe, kiedy ktoś wspomni o t.zw. „dobrych“ Niemcach.

Z raczej wstrząsliwego opisu Hersey'a, jak i z raportu Stroopa, jasno wynika, iż zuchwała akcja uwolnienia grupy przywódców żydowskich, omalże w oczach Niemców, uplanowana i przeprowadzona na była przez oddział AK. Czyżby więc nie pamiętano jej po polskiej stronie? I oto w książce generała Bora („Armia Krajowa“) w rozdziale poświęconym walkom w ghetcie czytamy: „...kiedy już było jasne, że dalsza obrona była niemożliwa, postanowiliśmy uratować resztę walczących. W nocy jednostki nasze opanowały wyłoty kanałów w pobliżu dzielnicy żydowskiej. Otworzyliśmy je i otoczyli strażą. Pod Otwockiem w lasach przygotowaliśmy punkt zborny dla uchodźców, gdzie mogli odpocząć, otrzymać odzież i prowiant i skąd małymi grupami pod osłoną ciemności mogli się rozchodzić na przygotowane punkty na prowincji. Chcieliśmy z tych dzielnych żołnierzy potworzyć oddziały partyzanckie we wschodniej Polsce. Była to dla nich jedyna możliwość ratunku...“

To właśnie od owych żydowskich żołnierzy partyzanckich uratowany przez AK Hersey otrzymał mógł relacje świadków o walkach w ghetcie. O ile, oczywiście, żołnierze ci wraz z polskimi towarzyszami broni nie zostali wywiezieni do syberyjskich obozów koncentracyjnych przez „oswobodzicielską“ Armię Czerwoną.

Procedura kontaktowania się ŻOB z AK opisana jest u Hersey'a dość dokładnie. Jednym z kolejnych wysłanników do strony „aryjskiej“ Warszawy jest właśnie wspomniany już Dolek Berson, który wskutek swego „bezpiecznego“, tj. nieżydowskiego wyglądu mógł być

poruszać się tam może swobodnie. W ciągu swego kilkumiesięcznego pobytu poza ghettem spotyka się on w regularnych odstępach czasu z niejakim „pułkownikiem Bierczykkiem“, reprezentującym AK. Początkowo Polacy zdają się nie ufać bojowości Żydów i Berson nie otrzymuje tego, czego żąda, mianowicie broni. Dopiero gdy nadchodzi wiadomość o pierwszej akcji dywersyjnej ŻOB z bronią w ręku, stanowisko Bierczyka ulega zmianie i przyrzeka on Bersonowi 50 pistoletów i 50 granatów ręcznych. Berson, acz ucieleszony, wołaliby, by pomoc była dużo większa. „Trudno nie być zachłannym człowiekiem, którego towarzysze giną w walce“, mówi Berson. I Hersey dodaje: „Bierczykowi najwidoczniej nie podobała się implikacja, że je go towarzysze pozostają bezczynni“. Nie trudno domyśleć się, skąd się implikacja o „bezczyności“ AK Hersey'owi wzięła: była to przecież fundamentalna linia propagandy komunistycznej i choć Hersey komunistą nie był i nie jest, to jednak właśnie w ciągu zbierania materiałów do „Muru“ korzystał z gościnny Armii Czerwonej i najwidoczniej nie zdołał się całkowicie oprzeć tej propagandzie.

Łatwo przewidzieć, że powyższe kontakty, jeśli opisane wernie, winny odnaleźć się w takiej czy innej formie w publikacjach polskich, tj. przede wszystkim w książce generała Bora. Tak też jest istotnie i czytamy tam, że jeszcze rozkazem Komendanta AK generała Grota zadanie kontaktowania wysłanników ŻOB przypadło p. Monterowi (Herseyowi Bierczyk). Prototypem Bersona wydaje się człowiy delegat Żydów, niejaki „Antek“, który właśnie wedle Bora odznaczał się takim nie-żydowskim wyglądem. Wysłannicy żydowscy przybywali z ghetta własnymi drogami. „Na pierwszym zebraniu“, pisze Bor, „zapytali, w jakiej mierze mogą liczyć na naszą pomoc. Przyrzekliśmy im pewną ilość rewolwerów i karabinów, kilka karabinów maszynowych, około 1000 granatów ręcznych i materiały do fabrykacji min... Nie było tego wiele, ale w tym okresie zapasy nasze były równie skromne...“ „Antek“ prosił, byśmy przygotowali strategiczny plan obrony ghetta... Zaczęło się przemycanie do ghetta broni i amunicji tymi samymi szlakami, którymi poprzednio szedł przemyt żywności... Pomogliśmy Żydom, ucąc ich także jak produkować butelki przeciwzolgowe... Tak dalece, jak to było możliwe, zrobiliśmy wszystkie potrzebne przygotowania zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz ghetta...“ Z książki gen. Bora dowiadujemy się również o dalszych losach „Antka“: został on przychwycony przez Niemców w chwili powrotu do ghetta. „Zabrali go do więzienia na Pawlaku“, pisze Bor, „gdzie go bito i katowano. Wielokrotnie pytany o nazwiska i adresy Polaków, z którymi był w styczności, nie zdradził nikogo. Wystano go wtedy z grupą więźniów koleją z Warszawy, prawdopodobnie na stracenie. Udało mu się jednak wyskoczyć z pociągu, ale przy skoku zlamął rękę. Mimo to wrócił i wziął udział w obronie ghetta, dla którego pracował z takim oddaniem. Padł w czasie walk na posterunku, przy ciężkim karabinie maszynowym...“

50 granatów ręcznych czy też 1000: mniejsza o cyfry. Należy jednak stwierdzić, że epizod z Bierczykkiem jest jednym u Hersey'a, gdzie Armia Krajowa nazwana jest po imieniu. Nawet przysłanie Kreszewskiego i wywiezienie pewnej ilości Żydów samochodami poza Warszawę mogło być, wedle Hersey'a, również dobrze dziełem jakiejś odosobnionej grupy polskiej, lub jakiejś organizacji politycznej (np. komunistów?). Nie dziwiłby się bynajmniej, gdyby dziś w Warszawie wydano „The Wall“ w tłumaczeniu polskim, z takim właśnie komentarzem. A przecież pomoc AK bynajmniej na tym się nie kończyła. Mimo iż udzielenie bezpośredniej, czynnej pomocy walgo“, tj. nieżydowskiego wyglądu mógł być

tylko tragicznym, pustym, samoołarnym gestem, gest ten, jakże ważny w obliczu historii, istotnie ze strony AK uczyniono. Dowiadujemy się bowiem z książki Bora, iż wspomniany „Monter“ (tj. p. Chrucielski, dow. okręgu warszawskiego AK) zorganizował szereg natarć na tyły Niemców, by odwrócić ich uwagę i dać obrocom możliwość ucieczki bądź zajęcia lepszych stanowisk. „Zadanie to“, pisze Bor, „przypadło do wykonania naszym oddziałom dywersyjnym, jako zaprawionym do tego rodzaju akcji...“ W kilku wypadkach oddziały AK przedarły się poza mury ghetta i tam nekaly nieprzyjacielowi, stając zażarte, krwawe boje. Niejedni żołnierze podziemia żyłi tam swoje życie w ofierze.

I znow znajdujemy potwierdzenie powyższego, mianowicie w raporcie Stroopa. Czytamy tam pod datą 23 kwietnia: „Musze dodać, że od wczoraj oddziały nasze były w licznych wypadkach ostrzeliwane spoza ghetta, tj. z aryjskiej strony miasta. Silne patrole od razu wkroczyły do danych dzielnic i w jednym wypadku udalo nam się schwycić 35 polskich bandytów i komunistów, którzy zostali zlikwidowani na miejscu. Dziś rano, gdy okazała się konieczność rozstrzelania pewnej ilości bandytów, ci padali wołając „Niech żyje Polska!“ (Owych „komunistów“ w raporcie Stroopa nie należy brać dosłownie: Niemcy zwykli byli nazywać „bandytami i komunistami“ wszystkich żołnierzy polskiego podziemia. Przyp. autora).

O wypadkach tych, które niewątpliwie odbić się musiały echem wśród Żydów ghetta, u Hersey'a cicho.

Wyspa żydowskiego ghetta otoczona była morzem polskości. Poza więc organizacją współpracą AK i ŻOB mur izolacji niemieckiej przenikać musiały liczne kontakty osobiste Polaków i Żydów. Ucieczki z ghetta, szmugiel żywności czy broni odbywał się mogły tylko z pomocą strony polskiej. Ze przy tym byli tacy, których jedyną podbudką było szybkie wzbogacenie się pieniędzmi żydowskimi, jest zrozumiałe, wojna bowiem ujaszkrawa ułomność natury ludzkiej. Ze nawet byli jednostki nie cofające się przed szantażem, brutalnością, zdradą, a nawet mordem, jest niestety prawdą: przykładem lajdactwa policji „granatowej“ — może gorsze jeszcze — postępowanie tzw. „tajników“ z Placu Teatralnego, tużących się krzywdą ludzką. Poza jednak tymi dwiema kategoriami była i trzecia, na szczęście znacznie liczniejsza, tych, którzy, gdy okoliczności postawiły ich wobec takiego dylematu, nie zawahali się w pomaganiu Żydom mimo kary śmierci, jaka groziła ze strony niemieckiej za takie „przestępstwo“. Byli tacy, którzy, mimo iż nieraz przed wojną nie kryli się ze swym antysemickim nastawieniem, teraz, w chwili potrzeby, nie wahali się udzielać schronienia Żydom i wspomagać ich materialnie, nie bacząc na straszne konsekwencje, jakie to pociągnąć mogło w stosunku do nich samych jak i do ich własnych rodzin na podstawie niemieckiej zasady „odpowiedzialności zbiorowej“.

W „The Wall“ postaci polskich jest w ogóle niewiele: wśród tych zaś, których sylwetki Hersey nakreślił, znajdują się, rzecz jasna, wszystkie trzy powyższe kategorie. Należy jednak zapisać na dobro Hersey'a, że na pierwszy plan wysuwają się Polacy tej trzeciej właśnie. Prawdziwa perspektywa pomocy, jaką Żydom Polacy udzieliłi, ukazuje się w „The Wall“ nieraz — jak gdyby mimo woli — w ułamku zdania w postronnej uwadze: np. przy dyskusji, w jaki sposób uratować od zagłady małego Dowida, syna rabina. Jeden z rozmówców wysuwa propozycję, by chłopca przewieźć na wieś do pewnego żeńskiego klasztoru, gdzie mniszki, z narażeniem życia, dają schronienie żydowskim dzieciom. Czasami cierpkość i wstrzemięźliwość, jaka

(Dokończenie na str. 3)

WACŁAW ZYNDRAM - KOŚCIAŁKOWSKI (Francja)

"TOLLE ET LEGE"

"Tolle et lege" — tymi słowami zadedykował mi Ewangelię świętą ksiądz doktor August kardynał Hlond, z którym miałem zaszczyt od jesieni 1940 r. do grudnia 1942 r., to jest do chwili mego aresztowania, blisko współpracować, blisko koncentracynym i teraz, gdy piszę to wspomnienie o wielkim człowieku, jakim był Prymas Polski, mam ją przed sobą z jego listami i notatkami moimi z tych czasów.

Dziś, kiedy coraz szersze kręgi zatacza walka o „rząd dusz”, pomiędzy materialistycznym poglądem na świat, narzucanym słą przez komunistyczny totalizm a uniwersalistyczną postawą personalizmu chrześcijańskiego, rola i znaczenie wybitnych jednostek wzywających Kościół pogłębiają się wielokrotnie i uwaga wszystkich wierzących skupia się na nich bardziej, niż kiedykolwiek. W tym przekonaniu chcę dać kilka szczegółów z życia emigracyjnego naszego Prymasa, pociągając żywy jego jest typowym żywotem człowieka, który wszystko, co osiągnął, zawdzięcza jedynie swym osobistym wartościom, a nie pochodzeniu stosunkom, protekcji. Jest to życie wielkie przez swoją prostotę i bezpośredniość, pozbawione zewnętrznych efekciarstwa, które jakże często przyzwyczailiśmy się uważać za cechę wielkości. Cechuje ten żywot wielką postępowość zarówno w sprawach społecznych, jak politycznych, nieugiętość w stosunku do zasad, a jednocześnie zrozumienie ludzkich małości i w ślad za tym idąca wyrozumiałość.

Gdy Włochy wypowiedziały aliantom wojnę, ksiądz Prymas opuścił Rzym i zamieszkał w Pirenejach, w Lourdes. Wracając z Madrytu, we wrześniu 1940 zatrzymałem się tam, aby wręczyć listy i przesyłki Kardynałowi i poinformować go o decyzjach rządu dotyczących się organizacji Polaków we Francji. Premier, generał Sikorski, stworzył Komitet Społeczny we Francji, nadrzędną organizację polską, która pod okupacją miała kierować losem liczących rzesz Polaków. Było nas w Komitecie trzynastu: ministra Jurkiewicza, min. Rose, min. Koźuchowski, konsul Chiczewski, pani Ładzińska, pani Gontaut-Biron, Gustaw Zieliński, Stanisław Zabiełto, mec. Bitner (który jednak nigdy z Portugalii do Francji nie dojechał), panowie Szymanowski i Kallinowski, reprezentujący starą emigrację. Wodzący i autor niniejszego wspomnienia.

Na pierwszym organizacyjnym posiedzeniu w Vichy, we wrześniu 1940 r., na wniosek min. Frankowskiego, kierującego naszą ambasadą, który właśnie wtedy na polecenie rządu francuskiego opuszczał Francję, dokoptowano jeszcze dwóch członków, konsula Kawalkowskiego i inż. Baranekowskiego. Tym razem trzynastka okazała się feralną, gdyż z biegiem czasu i z tempem rozwijających się wypadków pieciu członków z pierwszego składu Komitetu Społecznego znalazło się za drutami obozów koncentracyjnych (Zabiełto Zieliński, Gontaut-Biron, Kallinowski, Zyndram-Kościałkowski), zaś Jurkiewicz, Rose i Baranekcki przez groźącym aresztowaniem nielegalnie musieli przedostać się do Szwajcarii. Ponieważ organizacja nasza nie mogła być ujawniona, oficjalnie staliśmy się Radą Polskiego Czerwonego Krzyża we Francji. Między innymi moimi czynnościami miałem polecenie przez delegata rządu zajmować się sprawami i osobą księdza Prymasa, dlatego właśnie zamieszkałem w Lourdes. Jadąc do Vichy, które ze względu na jego centralną sytuację polityczną obraliśmy za naszą siedzibę na październikowe posiedzenie (niezakończono zbieraliśmy się co miesiąc, gdyż z powodu niewielkich funduszy, budżety PCK były rozpatrywane co miesiąc, a właśnie jednym z zadań Rady było uchwalanie budżetów), włożyłem także piśmo Eminencji:

„Na ręce Pana Rady przesyłam swe serdeczne błogosławieństwo dla polskiego „Komitetu Społecznego”. Czekając na nasze emigrantami uchodźczymi i żołnierzami, zdemobilizowanymi na terenie Francji. Szlachetne zadania Komitetu są niełatwe, wymagają bowiem z natury rzeczy hartu i poświęcenia, psychologicznego wyczucia się w zbolele dusze i wielkie serca wobec nastrojów wywołanych gorzkimi zawodami. Warunki zaś tej działalności są arcytrudne i tak niełatwe, że mimo szczerzej chęci Komitet nie może ani ogarnąć wszystkich potrzeb, ani spełnić wszystkich uzasadnionych życzeń.

Zdając sobie sprawę z tego położenia, zasylam Komitetowi za pośrednictwem Pana Rady serdeczne słowa zachęty a zarazem życzę mu, by z pomocą Bożą przewyżczył przy przeszłości i chlubnie spełnił

swą misję społeczną, umożliwiając tułaczom polskim na ziemi francuskiej szczęśliwe przetrwanie aż do utęsknionego powrotu do wolnej Rzeczypospolitej.”

Ksiądz Prymas wraz z dwoma swymi sekretarzami, ks. dr Filipiakiem i ks. dr Baraniakiem, mieszkał w domu biskupa „Lourdes i Tarbes”. Miał do swej dyspozycji dwa bardzo skromnie urządzone pokoje, sypialnię i gabinet pracy. Posiłki spożywano w ogólnej jadalni. Choć Prymas nigdy nie uskarżał się na skromność pożywienia, mniej dyskretni jego współpracownicy dawali do zrozumienia, że „czasami zjadłoby się coś więcej”. Pireneje są biednym departamentem, a w tych ciężkich czasach, mimo starań tutejszego biskupa, „menu” kardynalskiego stołu nie różniło się od posiłków w naszych schroniskach.

Bardzo wczesny swój dzień Kardynał Hlond rozpoczynał odprawieniem Mszy św. w domowej kaplicy. Zasadniczo przed południem nie było audiencji. Ksiądz Prymas sam pracował w swym gabinecie, pisał, zapoznawał się z pocztą, jakże obfita! Codziennie dziesiątki listów nie tylko z Francji, Niemiec czy Włoch, ale i zza oceanu, to była poczta oficjalna — ale prócz niej, stała wiadomości z Kraju, od Polaków z Rumunii, z Węgier. Z wielką regularnością przychodziły też tak wyczekiwane wiadomości. Z taką samą regularnością wychodziły stąd listy pokrzepiające cierpiących rodaków; wychodziła pomoc materialna za pośrednictwem Stolicy Apostolskiej lub też bezpośrednio. Nie zapomnę, z jaką radością opowiadał mi Kardynał, że udało mu się przesłać „tyle to wina mszalnego i owoców suszonych dla dzieci”. Czasami wprost z zadziwiająco szybkością listy z Polski docierały do podłoża Pirenejów. Poczta do Watykanu i odwrotnie wędrowała za pośrednictwem Nuncjatury. Oczywiście z powodu cenzury nie można było tych listów wysłać pocztą. Imano się więc rozmaitych sposobów. Korespondencja szłyfrowa z Londynem odbywała się za pośrednictwem naszej tajnej radiostacji.

Po południu ksiądz Prymas przyszedł; przez te dwa lata przeżył tam tysiące różnych ludzi, których ksiądz Kardynał przyjmował z równą serdecznością i prostotą. Nierzadko żołnierze polski przedzierający się do Hiszpanii dostawali nie tylko błogosławieństwo na drogę, ale też i zapomogę pieniężną. Kierownicy tutejszych organizacji składali mu sprawozdania, wysłannicy rządu szukali u niego informacji. Odwiedzali go też francuscy dostojnicy Kościoła.

Nierzadko Amerykanin opuszczający Francję zatrzymał się w Lourdes dla zabrania poczyty. Mimo trudności komunikacyjnych przyjeżdżały całe grupy Polaków, aby otrzymać błogosławieństwo i usłyszeć słowa otuchy. Z taką samą prostotą przyjmował Kardynał wszystkich, nie robiąc żadnych różnic między „małymi i wielkimi tego świata”.

Oczywiście, zdarzały się próby prowokacji, od czasu do czasu zaglądał jakiś agent niemiecki. Opowiadał mi kiedyś z humorem ks. Kardynał, jak zdemaskował fałszywego księdza, któremu dla wypróbowania dał brewirz. A ten w żaden sposób nie mógł się w nim zorientować. Trzeba się było nim na baczność, bowiem wiadome było, że Jego Eminencja jest pod stałym nadzorem, że gościmi jego interesują się agenci, a poczta jest specjalnie cenzurowana.

Kardynał Hlond odwiedzał zasadniczo dwa razy na tydzień, spędzając z nim całe popołudnie. Rozmowy te były dla mnie po prostu „lekcjami najnowszej historii”. Ontymizmem jego był tak szczerzy i tak głęboki że nikt jemu nie mógł się oprzeć i każdy, wychodzący z audiencji, innymi oczami patrzył na świat, na te „rzeczywistości rzeczywista”, która stawała się wtedy „rzeczywistością urojoną”, czymś zupełnie chwilowym i nieważnym.

Przed każdą jazdą na posiedzenie Rady PCK zabierałem jego pocztę, którą oddawałem w Vichy w Nuncjaturze Apostolskiej. Monksiorowi Pacini, naszemu wypróbowanemu przyjacielowi, a ten wręczał mi przeróżne listy i pisma dla Kardynała, które kurierem dyplomatycznym przychodziły z Rzymu. Po powrocie z naszych posiedzeń, zdawałem księdzu Prymasowi szczegółowe sprawozdanie z naszych prac i projektów, przedstawiałem też projekty budżetów PCK; Kardynał bardzo szczegółowo je przeglądał, robiąc notatki i uwagi, zawsze idąc w kierunku oszczędnościowym, zwłaszcza w stosunku do „przerostów administracyjnych”: „aby tych pieniędzy starczyło na jak najdłuższą i dla najbardziej potrzebujących”.

Polski Czerwony Krzyż nie tylko starał się nakarmić te tysiące Po-

laków pozostałych bez środków do życia, chodziło mu też i o danie im strawy duchowej. Na jednym z posiedzeń Rady pani Gontaut-Biron wręczyła mi projekt modlitwy, przełożonej z francuskiego, do aprobaty Kardynała. Miała być ona wydrukowana w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy i następnie rozosiłana po schroniskach. Przedstawiłem ją Eminencji. Na następnej audiencji Kardynał mi powiedział: „Trzeba Polakom dać coś bardziej polskiego, o ile macie pieniądze, wydrukujcie to” i wręczył mi modlitwę, zwaną później „kardynalską”, którą oczywiście wydrukowaliśmy. Czarne, skłupione oblicze jasnoświecącej Madonny spoglądało z tej kartki papieru wprost w „smutne przybytki niewoli, tułactwa i upokorzenia”, a słowa polskiego tułaczałego serca biegły proste i mocne:

„Potężna i święta Pani! Jak ongiś czciliśmy Cię za jasnych dni chwali w kościołach Twego polskiego królestwa, tak dziś wołamy do Ciebie ze smutnych przybytków niewoli, tułactwa i upokorzenia. Uproś nam u Syna Swego łaskę i zmiłowanie, byśmy zrozumieli Jego święte zamiary, poprawili się z grzechów, ukochali Jego prawdę, żyli Jego prawem. Daj nam moc ducha, otrzyj łaskawie polskie łzy i ukój oddane Ci serca. Przywróć Polsce pokój i jej prawa. Sprowadź nas na łono wolnej Ojczyzny. Zespój umęczony naród we wskrzeszonym państwie i błogosław zgodnej odbudowie

MODLITWA — ODDECH DUSZY

6 lipca Papież przyjął na audiencji kolejarzy i wygłosił do nich dłuższe przemówienie. Podkreślił odpowiedzialność zatrudnionych w kolejnictwie, wyliczając dla przykładu, jak poważne następstwa mogą przynieść przeoczenia sygnałów, zaniedbania w utrzymaniu torów, niedopatrzania w należytych funkcjonowaniu sygnalizacji. Ponadto kolejnictwo musi nie szczędzić starań w celu uczynienia podróży możliwie najbardziej miłą. Dla wielu zatrudnionych w nim rękawic pracy prowadzi do zaniku różnic między dniami i nocą, a nawet między dniami świątecznymi i powszednimi. To mogłoby doprowadzić do wniosku, że kolejarze są, żeby tak powiedzieć, zwolnieni z obowiązku wznoszenia duszy do Boga. Może niejednym z nich skłonny jest mniemać, że obowiązek modlitwy dotyczy tylko dusz zamkniętych poza murami klasztornymi lub żeń i dzieł. A jednak tak nie jest! Także i zatrudnieni w kolejnictwie muszą żyć życiem Bożym, a więc muszą pozwolić swej duszy oddychać. Oddechem zaś duszy jest modlitwa. A czy jest możliwe zlecić zamiast siebie komuś innemu zadanie oddychania?

Boski Mistrz powiedział do wszystkich: „Muscie zawsze się modlić (por. Łuk. 18, 1), a Apostołem zlecił, by powtarzali to samo: Modlicie się bez przerwy (1 Tes. 5, 17). Jeśli więc zatrudnieni w kolejnictwie pragną być naprawdę chrześcijanami, jeśli chcą być ludźmi, a nie tylko maszynami lub narzędziami, muszą starać się, by ich modlitwa nie była tylko przez chwilę w ciągu dnia albo przez kilka minut tygodniowo żadne zatrudnienie, żadna praca lub trud nie przerywa rytmu oddychania fizycznego; od-

dech trwa także w śnie. Dlategoż coś podobnego nie miałyby zdziałać z oddychaniem duszy, którym jest modlitwa?”

„Ale jak jest możliwe, w praktyce, stałe oddychanie duszy? Jak jest możliwe modlić się, gdy nie przestaje się pracować, męczyć się, odzywać, płakać, radować się, cierpieć?”

Jest sposób prosty i łatwy: na początku każdego dnia ofiarować Boskiemu Sercu Jezusa myśl, słowa, czyny, radości, cierpienia, w zjednoczeniu z intencjami, w jakich On sam ofiaruje się oddzielenie na ołtarzach. To ofiarowanie, o ile można odnawiane w ciągu dnia, zwłaszcza przed najważniejszymi czynami, nigdy zaś nie odwołane przez grzechy, wystarczy, ażeby życie każdego dnia stało się bezustanną modlitwą. W ten sposób wszyscy mogą przez pracę i trud współpracować z Jezusem nad zbawieniem dusz i dopomagając światu, by stał się lepszy. Wówczas ziemia nie byłaby taką, jaką ją dzisiaj oglądamy: przemieniona nierzakiby w piekło, w którym ludzie zmęczeni są mieszkaniem.

Słowa Papieża wypowiedziane do zatrudnionych w kolejnictwie dadzą się zastosować do wszystkich zawodów i zajęć. Dusze ludzi zatrudnionych w jakimkolwiek zawodzie i wykonywujących jakakolwiek pracę muszą oddychać, a oddechem duszy jest m o d l i t w a !

Innym razem powiedział Pius XII (22 maja 1952 r.): „Modlitwa jest oddychaniem duszy. Bez modlitwy częściej i żarliwiej dusza staje się anemiczna, wrażliwa, słabnie, nadzieja odmiewa, a na miejscu miłości panoszy się w sercach egoizm, jak ołów.” (J)

Stwierdzenie profesora A. P. Colemana i jego małżonki Marlon Moore Coleman ukazał się w czerwcu r. b. nowym polskim „Alliance Journal”; wydawcą jest polsko-amerykańskie Kolegium Związkowe (Alliance College) w Cambridge Springs z Pensylwanii. Podobne roczniki wydawane były ego czasu na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, póki dr Coleman był tam wykładowcą.

Rocznik obecny, opracowany w całości przez prof. Colemana i jego żonę, ma szczególną wartość naukowo-historyczną. Wypełnia go mianowicie bibliografia artykułów i notatek o Polsce, zawartych w jedenaście czołowych periodykach brytyjskich w okresie 1820-1841, a więc w okresie, w którym zalierosowanie sprawami polskimi, zwłaszcza po powstaniu 1830/31, było w Wielkiej Brytanii tematem żywym. Owe periodyki to: „Iberian”, „Edinburgh Review”, „Quarterly Review”, „The Foreign Review”, „The Athenaeum”, „Fraser's Magazine” — i wreszcie „British and Foreign Review”, która poświęcała stałe wiele miejsca sprawom polskim i z tej racji, nieustannie zresztą słusznie, uważana była za organ Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski w Londynie, za bożonego w r. 1832 przez poetę Thomasa Campbella.

Cały spis obejmuje ogółem 144 pozycje, z których pierwszą stanowią tłumaczenia części

Rzeczypospolitej, by nowe życie polskie natchnęło się prawdą i miłością i by przez wieki pomysłnie rozwijało się jako królestwo Twojej miłości i wybrane dziedzictwo Twojego Syna Jezusa Chrystusa. Amen.

Podaje słowa tej modlitwy, która przez wiele lat dodawała nam siłę i otuchy, aby nie zginęła. (Zdaje mi się, że w modlitewnikach była tylko drukowana w przesłanej księżce „Pojdźmy za Nim”, opracowanej przez koleżankę z Rady PCK, panią Wandę Ładzińską).

Wjeżdżając do Kraju i na emigracji miało za zle Prymasowi, że wyjechał z Polski we wrześniu 1939 r. Zarzuty te były niesłuszne i Kardynał bardzo nad nimi cierpiał. Na zaproszenie premiera Składkowskiego ksiądz Prymas wyjechał z Poznania do Warszawy, aby tu w katedrze św. Jana, w obecności Pana Prezydenta odprawił uroczyste nabożeństwo w dniu 5 września na intencję zwycięstwa. Gdy Kardynał znalazł się w Warszawie, sytuacja wojenna była już taka, że generał Składkowski zawiadomił, iż nabożeństwo nie będzie się mogło odbyć, natomiast w imieniu rządu prosił o towarzyszenie Panu Prezydentowi. Wtedy ksiądz Prymas razem z Nuncjuszem wyjechał z Warszawy, sądząc, że będzie to tylko wyjazd tymczasowy. Wypadki potoczyły się inaczej. Ale już w parę dni po przyjeździe do Rzymu, dokąd Kardynał spieszył, aby jak najprędzej powiadomić o sytuacji

Ojca świętego i prosić go o zorganizowanie pomocy materialnej i duchowej dla Polski, Jego Eminencja składa podanie do władz niemieckich o pozwolenie powrotu; przeoczuwając, że jego powrót do Poznania napotka na większy opór władz okupacyjnych, prosi o powrót do jakiegokolwiek diecezji. Przychodził odpowiedź odmowna. Niezrażony tym Kardynał stara się o to po raz drugi i trzeci, zawsze niestety bezskutecznie. Ta niemożność powrotu do Kraju była tragedią księdza Prymasa. Aby przy pierwszej sposobności przedostać się do Polski, Kardynał Hlond nie chciał wyjechać z Francji, chociaż wiedział dobrze, że na siebie naraził się pod okupacją niemiecką.

Na początku 1942 roku parokrotnie z polecenia naszego rządu starał się nakłonić księdza Prymasa do wyjazdu z Francji, chociaż doskonale rozumiałem pobudki nim kierujące. W tej sprawie nasza tajna radiostacja w Tuluzie przeprowadziła całą „korespondencję”. Ta decyzja Kardynała pozostała we Francji, doprowadziła z czasem do uwiezienia go, wlotygodniczego przesłuchiwanie przez paryską Gestapo i internowanie w Niemczech.

Nie chcąc, aby przy ewentualnej rewizji znalezione bruliony jego depesz w Tuluzie, wszystkie depesze Kardynała zawsze przepisywano, pozostawiając u siebie oryginały. Trzeba przyznać, że miejscowe władze policyjne i prefekturalne w Tarbes zawsze okazywały żyłczość. Dziesiątego listopada 1942 roku przyjechał do mnie z Tarbes, z samego rana, pewien oficer francuski, abym natychmiast zawiadomił księdza Prymasa, iż spowiedziane jest zajęcie przez Niemców „zone libre”. Zraz udaliśmy się do Jego Eminencji z tą wiadomością. Przyjął ją z całym spokojem, nie wątpiąc, że to tylko „przykra tymczasowość”. W ogóle ani na chwilę nie tracił ksiądz Prymas wiary w ostateczne zwycięstwo aliantów i odyskanie zupełnie niepodległości. Gdy wojska niemieckie dochodziły do Aleksandrii i równocześnie szybko postępowały w głąb Rosji, ludziami, którzy przychodzili go wtedy odwiedzać, mówił zawsze: „Im będzie on wyżej, tym większy będzie jego upadek”.

Wydarzenia takie, jak nabożeństwo księdza Prymasa w Bazylei i przy Grocie, dla nas, Polaków zamieszkałych w Lourdes, były prawdziwym świętem, które kończyło się odpiewaniem: przez liczne zebrania „Boże, coś Polskę”. Takim samym elementem była udzielenie 3 kwietnia 1941 roku przez księdza Prymasa Komunia wielkocenna na intencję odyskania Ojczyzny. Kardynał odwiedzał też nasze schroniska i szczególnie interesował się Polakami zamieszkałymi w Lourdes.

W licznych rozmowach, które przeprowadziliśmy, zawsze cechowała jego wypowiedź wielką śmiałość i postępowość, czy to chodziło o sprawy polityczne czy społeczne. Kardynał nie zapominał nigdy, że nie zawsze w Polsce przedwrześniowej było „najlepiej” i pragnął, aby z czasem, gdy odyskamy pełną niepodległość (zresztą do samej śmierci nie przestawał wierzyć, że moment taki przyjdzie), działo się inaczej.

Pamiętam, jak kiedyś rozmawialiśmy o masonach. — „Czy uwierzył Pan, że gdy M.S.W. zamierzają przeprowadzić rewizję u osób podejrzanych o należenie do tej organizacji, zjawili się w mnie w Poznaniu bardzo wysoki dygnitarz z prośbą o wypożyczenie mego archiwum masonowskiego do wglądu. Oczywiście, że tego pana odrzuciłem z kwitkiem, bo nie do takich celów służyły mi moje dokumenty”.

Ponieważ Kardynał Hlond nie był związany z żadną partią polityczną, co zwłaszcza „endecy” mieli mu za złe, sądy jego o naszych przywódcach politycznych były bardzo obiektywne. Obiektywizm ten, cecha rzadka u Polaków, był może jednym z najcenniejszych rysów Kardynała, którym mógł krzepić innych, usmierzając zbyt rozczarckowane tragedią wojny opinie rodaków, ukazując zawsze, że nie wszystko jest stracone pomimo pozorów i domagając się, aby prawdziwie chrześcijaństwo pojmowali jako stałą pracę i wysiłek dla wspólnego dobra a nie kierował się niecierpliwym sentymentem.

Ostatni raz widziałem księdza Prymasa na dzień przed moim aresztowaniem. W mej pamięci pozostało na zawsze spojrzenie jego dobrych oczu, szczerzy przyjacielski uśmiech i słowa: „Polska będzie znowu wolna, cała, niepodległa”.

Uważałem zaś swój obowiązek skreślić tych kilka szczegółów z życia Kardynała Hlonda, które być może jakimś historykowi przyniosą jakąś korzyść w opracowaniu dokładnej biografii wielkiego Prymasa Polski.

Wacław Zyndram Kościałkowski

Z E Ś W I A T A KATOLICKIEGO

Dokumenty papieskie o harcerstwie. Pod tym tytułem Associazione Scoutica Cattolica Italiana wydała w księżce o przeszło 200 stronach, w językach: angielskim, francuskim i włoskim, pisma Stolicy Apostolskiej i przemówienia Papieża Piusa XI i Piusa XII dotyczące harcerstwa.

Uprawienia kanoniczne wikariusza kapitulnego w Gorzowie. Ks. Prymas Stefan Wyszyński dekretem z 13 maja zezwolił wikariuszowi kapitulnemu w Gorzowie na samodzielne zarządzanie diecezją zgodnie z Kodeksem Prawa Kanonicznego, nakładając na niego obowiązki biskupa rezydencjonalnego.

Wystawa historyczna archidiecezji wrocławskiej. W lokalach wrocławskiego muzeum archidiecezjalnego została otwarta wystawa poświęcona przede wszystkim przeładowi odbudowania w ciągu 7 lat kościołów na terenie Dolnego Śląska.

Rocznica zgonu polskiego kardynała. W związku z 50-letnią rocznicą zgonu kardynała Mieczysława Ledóchowskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego-poznańskiego, odbędą się w roku bieżącym uroczystości poświęcone temu wielkiemu synowi Polski.

Prześladowania Kościoła na Węgrzech. Po zamknięciu w ostatnich miesiącach seminariów duchownych w Hejce i Kalocsa węgierski reżym komunistyczny zmusił biskupa Bertelana Badalka z Veszpremu do zamknięcia diecezjalnego seminarium duchownego. Otwarto natomiast dwa „seminaria” celem kształcenia „instruktorów” dla młodzieży katolickiej, którzy, jak się oczekuje, zastąpią księży wernych Stolicy Apostolskiej w zakładach naukowych.

Walka o dusze dzieci w Polsce. Komunistyczne Towarzystwo Przyjaciół Dzieci nie tylko prowadzi szkoły o charakterze bezbożnym, ale zabiega także o urabianie dusz dziecięcych w czasie pozalekcyjnym. W większych miejscowościach oddziały towarzystwa organizują tzw. „ogniska niedzielne” dla dzieci ze szkół podstawowych. „Ogniska” te urządzane są w ledwie ze szkół w godzinach przedpołudniowych od 9 do 12 w tym celu, by dziećmi unemożliwić lub przynajmniej utrudnić udział w nabożeństwie. Stosowane są wszelkie sposoby nacisku zarówno na same dzieci, jak i na rodziców, by imprecznie tym zapewnić jak największą frekwencję. Jako przynęta służą różne gry i zabawy oraz pisma ilustrowane. Program jednak jest tak ułożony, że na te zabawy i sport poświęca się minimum czasu, wypełniając większość przedpołudniową propagandą. W ten sposób odciąga się dzieci od Kościoła i spod wpływu rodziców, którzy w ciągu tygodnia mało czasu mogą poświęcić wychowaniu.

Pisma św. Tomasa z Akwinu. Komisja powołana przez Leona XIII i potwierdzona przez jego następcę na Stolicy Piotrowej przygotowuje wydanie krytyczne pism św. Tomasa z Akwinu. Ponieważ jednak trudno przewidzieć, kiedy ukażą się następne tomy tego wydanictwa, przeto księgi Maria Rietti'ego wydała obecnie nowe tomy swego wydawnictwa opartego na wydaniu Plusowym tzn. św. Piusa V. Te trzy tomy zawierają komentarze do Ewangeli św. Mateusza i św. Jana i do niektórych pism Arystotelesa.

Ewangielie rozdawane za darmo. Wydawca Cantagalli w Sienie założył w 1926 r. przy swych wydawnictwach „Dzieło Ewangeli” w celu rozdawania egzemplarzy Ewangeli w szpitalach, w wlezielnach, wśród robotników, dzieci i ludu. Regulamin „Dzieła Ewangeli” aprobowana odpowiedzialna władza kościelna. Dotychczas rozdano 9 milionów egzemplarzy.

Na Indeksie. Św. Kongregacja Oficjum umieściła na Indeksie księzek zakazanych Roberta Morala: „La Mère Vie de Marie” i tłumaczenie: „Das Leben Marias”. Komentarz „Osservatore Romano” naci tytuł: „Sancta sancte tractanda”.

Książki religijne

JEZUS CHRYSZTUS
OBIECANYM MESJASZEM

Konferencje wygłoszone przez ks. H. P. de la Boullaye w Notre Dame w Paryżu

Tłum. z franc. str. 224. Cena 9,6 z przesyłką 10,-.

APOSTOLSTWO NAJŚWIĘTSZEGO
SERCA JEZUSOWEGO

Ks. H. Ramiere

Nauki i rozważania. Str. 240.

Cena 6,6 z przesyłką 7,-.

O NAJŚWIĘTSZYM
SAKRAMENCIE

Konferencje i rozmyślenia

Ks. Jan DORDA

Wyd. Apost. Modl. — Kraków,
str. 147. Cena 7,6 z przesyłką 8,-.

Zamawiać: VERITAS F. P.
CENTRE, 12, Praed Mews,
London, W.2.

ZOFIA KOSSAK

„LISTY NIKODEMA”

...Był pewien faryzeusz, pełen pobłażliwej pogardy dla wszystkiego, co niższe, a poczucia własnej wyższości — ten mały człowiek, tak nam, niestety, bliski — staje oko w oko z Bogiem. Pamiętne słowa: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się kto na nowo nie narodzi, nie wejdzie do Królestwa Bożego”, są skierowane do niego wprost.

Nikodem nie chce zrozumieć tych słów. Echo drwiny drży w jego głosie, gdy pyta, czy stary człowiek ma wejść znów w kobiece łono? Pojmie sens słów Bożych dopiero po długim czasie, przeorany i zdruzgotany nieszczęściem.

Wiedząc jak bardzo typ „dobrze myślących” był obiermy złyteż ze sobą trójce, Leonowi Bloy, Bernanosowi Dobraczyńskiemu („Gwałtownicy”, por. nr. 247 ZYCIA), można było oczekiwać, że trzójstwo faryzeusz zostanie potraktowany surowo. Tak nie jest. Nikodem budzi współczucie w miejsce odrazy. Powodem tej względności jest jego dramat osobisty.

Tragizm „Listów Nikodema” wypływa z dwóch wątków, chociaż bohater jest jeden. Dramat człowieka, którego Bóg wola, szuka, a który nie ma odwagi rzucić Mu się do nóg, („...jakże zacząć nazywać rozszarpane to, co się zdaje szaleństwem? Nie mogę mieszać się z tłumem nieczystych!”) — oraz dramat ojca.

Nikodem ma córkę Ruth, nieuleczalnie chorą, jedyną istotę na świecie, którą miłuje. To troska o Ruth, nadzieja, że nieznaną prorok z Galilei ją uleczy, kieruje go ku śladom Chrystusa. Wobec choroby wszystkich sprawy wydają się udręczone. Mu oju gra cieni. „Chwieję się na powierzchni pozbawione głębokości, ta jedna sprawa jest naprawdę ważna, uyczuwalna na dnie każdej in-

nej sprawy, jak osad na dnie garnka. Zuję, jem, piję, rozmawiam z ludźmi, uśmiecham się do nich, ale to wszystko jest wiotkie jak sen. Wszystko jest snem, tylko ta choroba nim nie jest. A raczej, ona także jest snem, bo i sen nie jest od niej wolny. Nie wiadomo, kiedy stoje wobec niej bardziej bezradny, czy kiedy mię dręczy omotanego sennością, czy też gdy przychodzi w blasku słońca i świadomości, bezwzględnie jak podniesiony nad głową miecz...”

Chrystus nie uleczył chorej dziewczynki. Zrozpaczony ojciec nie zdołał przełamać swojej natury, by z wiarą i pokorą prosić. Pełny go inteligentna pycha, inteligentna złożoność. Chodził ślad w ślad za Chrystusem Panem, patrzył na Jego cuda, nie przestawał myśleć o ukochanym umierającym dziecku i powtarzał sobie: poproszę Go jutro, pojutrze... „Idź, wiara twoja cię uzdrowiła”, mówił Pan — Nikodem zaś wiary nie miał. Nie umiał również zaufać. Nie stać go było paść na kolana i krzyknąć: Panie! Nie jestem godzien, abyś wszedł pod dach mój, lecz rzeknij słowo!... Cierpiąc pozostał bezsilny. Brak mu wiary, nadziei i miłości. A zanim łuski spadną mu z oczu, Chrystus zażąda od niego tej maledy...

...To nie ja ją wnosłem przez strop do domu, w którym On nauczał... Ja byłem domem i to przez moje rozzerwane ciasto On dokonał swego czynu... Tamten chory odszedł uleczone. Dach mego ciała nie nie zasklepi. Jestem domem otwartym szeroko na deszcz i wicher...”

Z wielkim artystycznym Dobraczyński usuwa wszystko, co mogłoby odrywać uwagę czytelnika od Nikodema i jego przeżyć. Mimo tłumy komparatów, na scenie są właściwie tylko trzy postacie: Chrystus, Niko-

dem i niewidoczna, cierpiąca lub już nieżyjąca, Ruth. Ojciec jest sam ze swym dzieckiem, Nikt nie dzieli jego rozpacz, nikt go nie pociesza.

Czasy się dopełniają. Po Golgocie następuje Zmartwychwstanie. Nikodem zrozumie wreszcie sens cierpienia. Spoztrzeże, że Bóg, Nieśmiertelny i Wszchemocny Sędzia Wszereczy, posiada swój „punkt słabości”, którym jest Jego niezgłębione Miłosierdzie...

...Miłosierdzie...

Dotykamy ostrożnie tajemnicy „Listów.” Książka jest krótko zadeklowana: *Elzumi*. To imię ukochanej córki Dobraczyńskiego, gąsniącej w jego oczach, w jego ramionach przez parę lat i zmarłej. — Ruth — to Elżunia, Dlatego poświęcone jej strony posiadają dławicę, nieklamany patos. Błogosławione cierpienie, które się przeraża w chleb mogący karmić wielu.

Autor nie powinien czuć żalu o tę niedyskreję. I „Treny” urodziła prawdziwa żaloba. I tylko rodzice, którzy utracili dziecko, wiedzą, jaki jest prawdziwy sens słowa: nieszczęście. Bo większego bólu nie masz.

Teraz zawodowy krytyk przeszedłby do omówienia wad książki. Każde dzieło, nawet najlepsze, posiada niedociągnięcia. „Listy Nikodema” nie są od nich wolne również. Pisarz nie jest nieporęczny mówić o tym. Pisarz nie powinien bawić się w krytykę. Recenzując książkę drugiego pisarza, może zostać posądzony o niewłaściwe i nieuprawnione mentorowanie. Krytyk co innego. Wolno mu nicować autora, wmiawić weń rzeczy, o których nie śnił, klepać po ramieniu albo i potrącić. To jego krytyknie prawo. Cóż jednak począć, skoro na emigracji krytyki literac-

kiej tak jakby nie było? („Ziele na kraterze” Wańkowiwa wyszło przed półrokiem i dotąd w ZYCIU nie było o nim recenzji!) O literaturę krajową zaś ktoś się tutaj troszczy? Chcąc, nie chcąc, pisarz musi pisać o pisarzu.

Więc może poprzestać na tym, co zostało napisane? Kropka. Koniec. Bywają zespoły pisarskie, w których obowiązują wzajemna nieposzlakowana kurtuazja. Ten tam temu, że znakomity, a tamten temu że, jak zawsze, nieporównany. Obaj zaś, że nieśmiertelni.

Nie ma w tym nic złego, gdy chodzi o starszych ludzi, których najlepsze prace zostały za nimi. Ale Dobraczyński jest młodym pisarzem, pędzącym w górę. Jeżeli w ciągu najbliższych dziesięciu lat zrobi tyleż drogi, ile jej przebiegł w czasie młonożonego dziesięciolecia — pozostanie trwałą chlubą polskiej literatury. Powiedzieć mu dzisiaj: Jesteś u szczytu! — byłoby nieojoalnością i zdradą przyjaźni. On sam by w to zresztą nie wierzył. I nie pogniawa się na pewno, że wchodząc w skórę krytyki, wytknę niektóre usterki „Listów Nikodema”.

Oczywiście są to zarzuty (prócz jednego) subiektywne, sporne, mogące z całą słusznością być odrzucone i skierowane przeciw niepowołanemu krytykowi.

A więc: O ile w ostatnich (przebiegłych) listach postać Najświętszej Matki przedstawiona jest przekonująco, a jej wypowiedzi o odnalezieniu Dziecięcia w świątyni uderza swą głębią, o tyle List XVIII (Zwiastowania) wydaje się chybiony. Najświętsza Panna nie mogła mówić tak długo i tak ozdobnie! Ta opowieść nie powinna być znaleźć się w cudzoziemcu, jako bezpośrednie Jej sio-

wa. Niech by ją referował po swojemu Nikodem. Wtedy zgoda.

Ze wszystkiego, co wiemy o Piłacie, zdaje się on być innym typem, niż go przedstawia Dobraczyński. Karierowicz bez skrupułów, ale z pewną kulturą i wykształceniem. To nie był żołdak, „czujący się najlepiej w koszarach lub stajni”. Znaczący dziejów Rzymu zaznaczał nieraz staranność, z jaką przygotowywano wyższych urzędników do objęcia stanowisk w koloniach.

Książka uderza sumiennym pracownictwem szczegółów i tła. Pedantyczny krytyk znalazłby jedno tylko potknięcie, (to jest ów zarzut bezsporny): za czasów Chrystusa Pana opuncji w Palestynie nie było. To import znacznie późniejszy.

„Listom” braknie adresata. Mędrzec grecki Justus, do którego wędzy i rozumu Nikodem żywi tyle zaufania, którego w każdym liście prosi o radę, na którego opinie oczekuje — jest niemy. Nie odpowiada. Nie znajdujemy nigdzie w książce wzmianki o tym, by wyraził swoje zdanie dotyczące przedziwnych wypadków, opisywanych mu drobiazgowo przez przyjaciela.

Na koniec styl „Listów” wydaje się być nadto wyszukany, przeladowany porównaniami i metaforami, które wbrew zamierzeniom autora, miast potęgować, osłabiają wrażenie. Wiadomo, iż literackość jest największym wrogiem literatury. Proza może pozwalać sobie na barok słowny tylko, gdy opisuje rzeczy blache. Jeśli dotyka spraw najwzkiejszych, musi być taka, żeby jej nie było widać. Żeby treść mówiła za siebie, pozornie bez pomocy autora. Poezja niech technicznie a nie słowa. Im krócej i prościej — tym lepiej. Ograniczyć przymiotniki, wytypić przenośnie. — „A Zeromski?” — ktoś zapyta. Ach, Zeromski był wielkim poetą lirycznym, niepowtarzalnym. Jego pisma nie są prozą. Posłyszawszy słowa: „...ogary poszły w las...” czujemy to samo wzruszenie, co mówiąc: „Litwo, Ojczyzno moja...” To poemat. Znakomitą prozą pisał Sienkiewicz.

Dobraczyński ma skłonność do przeladowanego stylu, co w innych jego książkach nie razi, a tu, gdzie mowa o Bogu — razi. Czasem jego zestawienia są wspaniałe. Na przykład: „...Sphyną blaskiem, jak postawiony słońcu miecz...”

To jest olśniewające. Chciałabym tak napisać. Podobnych efektów jednak należy używać bardzo rzadko i ostrożnie. Przesada prowadzi nieuchronnie do banału.

Przykłądy: „...Tum zatrząsł się jak las uderzony skrzydłem wiatru...” — „Oczy czarne, jak morze pod techniem wiatru...” — „Rzęsy topotały szybko, jak skrzydła wiejącego ptaka...” — „W jego głosie była radość, jak dźwięk dzwonków owiecznych w szklistym powietrzu południa, lecz zasnął ją smutek, niby mgła łowarzysząca pierwszym deszczom...” — „Oczy czarne, jak dwa małe okna otwarte w bezgwiezdną noc...” — „Czarne skały wyrzwały spody zieleni niby kości szkieletu ze spróchniałych zwłok...”

Tak zbyt wymyślne: „...Wylotowi proroczą zapowiedź ze Świętych Ksiąg, jak rzeźny chłopiec wylawia rybkę z maleńkiej kałużki...” — „Myśli rozpychały mi czaszkę niby ciężkie melony wtyły kossz...” — „Słońce uchyliło się zza Taboru, niby schowane dziecko zza stołu siana, parząc, co jest szukane...”

Po licha te kokardki i falbanki na posągu!

Pięze, „bom smutny i sam pełen winy”. Na każdej stronie moich książek roi się od niepotrzebnych słów i literackości. Wiem, jak trudno się utrzczeć od nich. Te asocjacje, te porównania, spływają same z pióra, cisną się na papier. Znacznie większego wysiłku i czujności wymaga pisanie proste, niż pisanie barokowe.

Może się to zdawać dziwnym tylko temu, kto nie uprzytomnił sobie dziedzictwa licnych wieków, podczas których takie właśnie pisanie obowiązywało. Aż wesoło w krew i teraz z tym dziedzictwem trzeba walczyć. Walczyć o wzięłość, o oszczędność słowa. Szczególnie obowiązuje to nas, pisarzy, co się porwali na służenie piórem Panu Najwyższemu.

Zostawmy kwiecistość utworom, których nikła treść potrzebuje wsparcia wyszukanej formy. Tam niechaj „gwiazdy spadają na morze i leżą bezpiecznie na jego lekkości, marszczącej się powierzchni”. To jest ładne, bardzo ładne... ale... nie pasuje. Nasze słowa niech będą proste, rzadce, parcie. Bo treść, którą chcemy przez nie wyrazić, jest tak piękna i ogromna, że wszelki przystrzyżony wydaje się dla niej obrażać.

A „Listy Nikodemu” każdy powinien przeczytać.

MUR, KTÓRY NIE SKRUSZAŁ

(Dokończenie ze str. 1)

wydać się opanowywać pióro Hersey'a, gdy pisze o Polakach, w połączeniu z obiektywizmem rasowego dziennikarza przyczyniają się do powstania kartek pięknych i wzruszających, jak np. scena, jaką chciałybyśmy tu zacytować.

Oto jedna z politycznych organizacji podziemnych ghetta wysłała na „stronę aryjską” niejakiego Stonima, polecając mu zbadać na miejscu, ile jest prawdy w pogłoskach o Treblince. Pierwszym kontaktem Stonima po stronie polskiej jest kolejarz polski, niejak Jan, socjalista. Stosownie do umowy Stonim zachodzi do niego pod wieczór. Jan przygotował już informacje dla żydowskiego wyślanca: mapę trasy, czasy odjazdu pociągów, różne ważne szczegóły o ruchu kolejowym. Podczas gdy przedkłada je Stonimowi, ten zauważa na skrzyni pod oknem otwartą puszkę sardynki i bochen chleba: jest to zapewne kolacja Jana. Stonim nie zjadł do syta od miesiąc. Trudno mu skoncentrować uwagę na słowach Jana, które...

...suche, bezbarwne, płynęły nieprzerwanie. Zapach rybnej oliwy zdawał się potęgować w pokoju. Stonim starał się przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni jadł sardynki. Chyba w 1939 roku: trzy lata temu! Jakież gładziuskie ich mięso! I te chrząstki, rozpliwające się w ustach...

Towarzysz Jan, rzeczowo: — Nie wydaje mi się prawdopodobne, by pociąg do Rosji szły gdańskim szlakiem; chyba, że puszczają je bocznymi torami, by główne linie na wschód trzymały wolne dla transportów wojskowych...

Stonim był opętany sardynkami. Przez chwilę krzyk cisnął mu się na usta: — Mój Boże, towarzyszu, umieram z głodu! — Ale duma wobec Polaka kazała mu milczeć. Jednak rósł w nim gniew: radby poprzeczać się z tym flegmatycznym, sytym, zadowolonym ze siebie zwierzęciem. Jednak cokolwiek towarzyszu Jan mówił, było bez zarzutu, uprzejme w tonie i pomocne w treści. Stonim przełknął gniew: nie była to jednak potrawa tak zadawalająca, jak nia byłaby ryba. Kiszki mu się skręcały. Jakże człowiek może być tak samolubny, nieczuły okrutny, by pozwolić jedzeniu walać się po kątach w takich okolicznościach?

— Słyszałem pogłoskę, bo widzieliście, ja pracuję na dworcu kolejowym przy Alejach Jerozolimskich i niewiele wiem o tych pociągach, które Was interesują... ale, jak mówię, doszła do mnie pogłoska, że te wagony odbywają tylko okólną drogę i wracają w pół dnia. To byłoby wszystkiego pięćdziesiąt kilometrów, tam i z powro-

tem, najwyżej. Pewno więc nie trzeba Wam będzie iść daleko. Choć to oczywiście jest tylko taka sobie pogłoska, od którego z towarzyszy...

Stonim nie mógł dłużej wytrzymać zapachu sardynki. Wstał i powiedział cierpkoo: — Dziękuję za pomoc. Muszę już iść.

— Iść? A gdzie spędzicie noc? Stonim nie miał żadnych planów; nie miał pojęcia, gdzie spędzi noc. Prawdopodobnie będzie musiał wrócić do pierwszego kontaktu i poprosić o nocleg, choćby na podłodze.

— Towarzysz Wolo oczekuje mnie. Skłamał.

Polak wstał. Na jego twarzy trwał niezmiennie ów tępy, nieczuły wyraz.

— Ależ towarzyszu Wolo powiedział mi, że mogę Was przenoćować. Spójrzcie, specjalnie przygotowałem swoje łóżko dla Was, a dla siebie położyłem koc. Wam przyszedłby dobry odpoczynek.

Stonim spojrzął w kierunku wskazanym przez Jana. Istotnie, na podłodze u głów łóżka leżał polski koc wojskowy.

— Oprócz tego, przygotowałem dla Was coś specjalnego. Myślałem, że możecie... Wobec waszych marnych przedziałów w ghetcie...

Towarzysz Jan podszedł do skrzyni, wziął chleb i sardynki i postawił je na stole.

Stonim, skrobiąc się po głowie: — Nie, nie! Przeleć to Wasza kolacja.

— Ja już jadłem kolację. Zawsze jadam w stołówce. To tutaj przy-

niosłem dla Was. Baityckie sardynki! Sładajcie, sładajcie!...

Tam jednak, gdzie Hersey notuje reakcję zbiorowości polskiej, nie omija okazji, by, jakże na ogół niesprawiedliwie a nawet absurdalnie, wepchnąć nam szpilkę w czule miejsce. Gdy łączniczka żydowska, Rutka, przelaska się przez tłum Polaków przysłuchujących się strzałom w ghetcie, słyszy także np. uwagi: „To tam gonią myszy, nie wie pani?”, „Zydzi dostają lekcje!”, „Koszerna rzecz, bardzo higieniczne...”. Co prawda o tej samej Rutce-kurlicie, wysłanej przez ŻOB do Wilna i doznającej po drodze nieoczekiwanej pomocy od przegdanego towarzysza podróży, którzy biorą ją za wysłanniczkę AK, Hersey mówi pięknie: „Heroldz jej polegał przede wszystkim na fakcie, iż złękl swej „bezpiecznej” twarzy poddać się mogła panującemu powszechnie poczuciu, iż Polska należy do Polaków.” Ale już parę kartek dalej, Żydzi osmarowani błotem wyruszający się z kanału po stronie polskiej słyszą „śmiechy wśród czysto ubranych przechodniów”.

„The Wall” jest książką przykuwającą uwagę, wzruszająca, niekiedy porwijająca. Podobnie tak „Quo vadis” jest nie tylko książką polską ale i włoską, i należąca do całego świata, tak i „The Wall” jest książką nie tylko amerykańską, nie tylko żydowską, ale i polską. Zakłete w niej jest coś z Warszawy. Jest zwierciadłem zaprezentowanym przez Żydów polskiemu społeczeństwu, by się w nim zobaczyli takim, jak Żydzi je widza: jeśli zwierciadło to gdzieś niedługo wy-

koszławiła odbicie, wynika z tego jedynie, iż, choć wzniezione przez Niemców mury ghetta rozpadły się w pył, jednak mur dawnego antagonyzmu polsko-żydowskiego nie skruszał, mimo że ani mniejszości żydowskiej, ani kwestii żydowskiej w Polsce już nie ma.

Frazyzy takie, jak o owej „twierdzy, którą nam się stanie każdy próg”, to oczywiście oklepne szablonu. Jeśli jednak słów takich używa żołnierz umierający na polu bitwy, nabierają one całej wagi doświadczenia, stają się wezwaniem, testamentem. Toteż, więcej niż cała 500-stronicowa książka Hersey'a, uczucia żydowskie w czasie walk o ghetto wyrażają słowa samych Żydów, które tu po raz pierwszy podajemy. Jest to odezwa ghetta do Polaków i próżno byłoby jej szukać na kartkach Hersey'a: niżej podpisany przepisał ją w roku 1945 w Żydowskim Biurze Historycznym w Krakowie z jednego z nieleżnych zachowanych oryginałów. Przypomnijmy w dobrej wierze te słowa, zaiste pisane „In articulo mortis”!

Polacy! Obywatele! Żołnierze Wolności!

Wśród huków armat, z których armia niemiecka wali do naszych domów, do mieszkań naszych matek dzieci i żon —

Wśród terkotu karabinów maszynowych, które zdobywamy w walce na tchórzliwych żandarmach i SS-owcach —

Wśród dymu pożarów i kurzu krwi mordowanego ghetta Warszawy —

— my, więźniowie ghetta, ślemy Wam bratnie, serdeczne pozdrowienie.

Wiemy, że w serdecznym bólu i łzach współczucia, że z podziwem i trwożą o wynik tej walki przyglądacie się wojnie, jaką tocymy z okrutnym okupantem.

Lecz wiedzcie także, że każdy próg ghetta jak dotychczas, tak i nadal będzie twierdzą, że możemy wszyscy zginąć w tej walce, lecz nie poddamy się, że dyszymy jak i Władza odwetu i kary za wszystkie zbrodnie wspólnego wroga.

Toczy się walka o naszą i Waszą wolność. O Wasz i nasz ludzki, społeczny, narodowy honor i godność. Pomścimy zbrodnie Oświęcimia, Treblinki, Bełżca, Majdanka!

Niech żyje braterstwo broni i krwi walczącej Polski! Niech żyje wolność! Śmierć katom i oprawcom!

Niech żyje walka na śmierć i życie z okupantem!

Żydowska Organizacja Bojowa. Nie może ulegać wątpliwości, iż żołnierze ghetta wywalczyli na zawsze „ludzki, społeczny, narodowy honor” Żydów warszawskich.

Miecz zdziwienia

Od kości, Boży mieczu, mnie oddziel —
Niech krzepkie, kręte jak mnie drzew rosną.
Niech sarce w górę strzela jak bory
I niech podziwia je głośno.

Od krwi mnie oddziel, co w mrokach płynie,
Jak strumień czerwony rwący —
Jak się podziemnych wód rwie ku morzu,
Nie widząc nigdy słońca.

Daj mi cudowny wzrok, bym mógł ujrzeć
Swe oczy, rzekę, co rwie się, toczy —
Ów przymat straszliwy i dziwniejszy
Niż to, co widzę oczy.

Od duszy mnie oddziel, bym mógł ujrzeć
Rytm życia, grzechy jak ropę raną —
Bym wiecia ocalił jak przechodnia,
Co na drodze zblakany.

Tłum. Wiesław Piarczyk

Antoni Kawczyński

Zofia Kossak

ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 3 sierpnia 1952.

TRZYDZIESTOLECIE „THE SLAVONIC REVIEW”

„The Slavonic Review” obchodził w czerwcu br. trzydziestolecie swego istnienia. We wstępie do pierwszego zeszytu z czerwca 1922 roku redakcja z B. Paresem na czele motywuje cel wydawnictwa pisząc: „W wyniku wojny światowej narody anglosaskie po raz pierwszy w historii zetknęły się bliżej tak z Rosją jak z mniejszymi narodami słowiańskimi, wówczas jeszcze walczącymi o wolność. Lecz zanim czas i pełniejsza znajomość mogły scementować nowozawartą przyjaźń, miały miejsce wypadki nader tragiczne i, jeżeli chodzi o Rosję, przeskoczyły we wspólnym zrozumieniu się za chwilowo większe, niż były kiedykolwiek w przeszłości chociażby potrzebą takiego porozumienia jest bardziej paląca i może głębiej odzuchwana.”

Z powyższej wypowiedzi wynika, że zadaniem czasopisma miało być zacieśnienie stosunków między światem anglosaskim a Słowianami. Łamy pisma stały się otworem dla spraw związanych z historią, instytucjami społecznymi, warunkami politycznymi i gospodarczymi, literaturą, sztuką i filologią krajów słowiańskich. Miało to być przeglądem prac sławistów brytyjskich i amerykańskich z udziałem Słowian, specjalistów wszystkich dziedzin twórczości duchowej. Od razu postawiono pismo na wysokim poziomie zapewniając każdej szkole myślenia bezstronne wysłuchanie. W ten sposób zamierzano informować czytelników o ważniejszych prądach duchowych i politycznych w życiu Słowian.

Czasopismo ukazywało się początkowo trzy razy do roku. Podczas wojny trudności techniczne sprawiły, że wydawano je w Stanach Zjednoczonych. Kiedy po zakończeniu wojny wznowiono wydawanie w Londynie, redakcja z dumą mogła patrzeć na swoje osiągnięcia, czyli 52 numery czasopisma do wybuchu wojny, o 40 tysiącach stron poświęconych zagadnieniom historii, literatury, ekonomii i filologii Słowian i ich wschodnio-europejskich sąsiadów. Patrząc z perspektywy dwudziestu dwu lat redakcja nazwała swoje dzieło skromnie encyklopedią władomości w przeważnej części nigdzie indziej po angielsku nie dostępnych.

Rzeczy polskie pojawiły się po raz pierwszy w drugim numerze przeglądu i od tamtej pory stały się stałe i regularne. Oczywiście jest ich bez porównania mniej od pozostałych, ale to nie jest powód do żalu. Najliczniej reprezentowana jest literatura. Za ważniejszych nazwisk należy wymienić niestrudzonego R. Dyboskiego (Zeromski i Reymont; A. Brückner; Literatura w odrodzonej Polsce), Monikę Gardner (Sienkiewicz; J. Kasprzycz; Powstanie polskie w sztukach Wypiańskiego), J. Krzyżanowskiego (Puszkina i Mickiewicza; B. Prus; Scott w Polsce), W. Bruchnalskiego (J. Kochanowski, poeta polskiego renesansu), W. Browego (Kasprzycz; L. Staff; St. Wyspiański; Studia o wielkim poecie; Pana Tadeusza, Mickiewicz; Zeromski; Reymont; Piętnaście lat literatury polskiej 1918-1933), W. Rose'a (Poeci Młodej Polski), K. Czachowski (Rostkowski, K. Czachowski), W. Lednickiego (Puszkina i Mickiewicza i dekabrysty; legenda i fakty; Mickiewicz w College de France; Polska i słowianofilstwo), S. Srebrnego (St. Wyspiański, poeta Młodej Polski), St. Windakiewicza (Anatomia Mickiewicza), E. J. Zawadzkiego (Utopia Zeromskiego), Giovanniego Mavera (J. Słowacki), Claude Backvisa (Pozycja Słowackiego w dramacie polskim), Z. Folejewskiego (Turgeniew a Prus), A. P. Colemana (Mickiewicz i ballady północne), M. M. Colemana (Pisarz polski za granicą; trzy lata literatury emigracyjnej), O. Forst-Battaglini (Współczesna powieść polska), G. Struve (Mickiewicz w Rosji), W. Weintrauba (Mickiewicz i Bakunin; Manifest renesansowy Kochanowskiego) oraz J. Pietrkiewicza (Norwid; Collins i Książnik; Polska powieść psychoanalityczna z 1902 r. („Patuba”)).

„The Slavonic Review” zamieścił również wiele przekładów polskiej poezji i prozy. Oto najważniejsze pozycje: Kochanowskiego: Pieśń Świętojańska o sobótce; treny II, III, V, VII, X, Karpinińskiego: Bóg się rodzi, Mickiewicza: Oda do młodości; Pan Tadeusz (we fragm.); Dziedy (III) w wyj.; Lille; Do matki Polki oraz większość sonetów, Słowackiego: Ojciec zadumany, Na sprowadzenie prochów Napoleona, Hymn o zachodzie słońca, Wypiańskiego: Proteslaus i Laodamia oraz pomniejsze utwory: J. Morsztyna, Krasickiego, Krasinskiego, Norwida, Malczewskiego, Ujejskiego, Kasprzycza, Konopnickiej, Tetmajera, Staffa a z poetów współczesnych: Broniewskiego, Tuwima, Wittlina, Wierzyńskiego i Lechonia. Prozę reprezentują Sienkiewicz (Janko muzykant); Prus (Kamizelka, Dziwna historia, Sen), Konopnicka (Banasława); Reymont (Chłopi, w wyj.); Zeromski (Popioły, w wyj.); Tetmajer (Na skalnym Podhalu, w wyj.); oraz Norwid (Ad leones), Kraszewski, Dygasiński, Jalu Kurek, M. Samozwaniec oraz G. Morcinek (Wiara, Cisza).

O muzyce pisali: Z. Jachimecki (Moniuszko, Szymanowski) oraz W. Rose (Paderewski); o malarstwie: T. Szydłowski (J. Malczewski); o polskiej szopce — L. R. Lewitter. Szkołnictwem i ruchem umysłowym w Polsce zajmowali się: A. B. Boswell (Reforma szkolnictwa), W. Rose (Konarski, Kollataj) oraz R. Dyboski, W. Borowy, W. Weintraub i J. Buyno. O języku trzy rozprawki zamieścił St. Westfal. Kwieste wyznacznice poruszał: K. Górski (Polska reformacja) i J. Szeruda (Protestanci w Polsce).

Publicystyka i zagadnieniami polityczno-ekonomicznymi zajmowali się: K. Skirmunt, St. Kutrzeba, S. Gargas, Z. Ludkiewicz, St. Srokowski, St. Łoś, J. Radziwiłł, V. Pollack (Augur), J. H. Hartley, J. F. D. Morrow, W. Rose, J. Wilder, A. Heydel, K. Smogorzewski, W. Sikorski, St. Kozicki, A. Stawarski, Z. Szwedkowski, G. MacDonald, O. Halecki, St. Mikolajczyk, W. Dworzaczek, I. R. Lewitter, H. Batowski, M. K. Dżewanowski, P. Brock i inni.

Historyczne prace zamieścił: A. Iewak, M. Kukiel, T. Grzebieliński, O. Halecki, A. P. Coleman, S. K. Padover, S. Kleniewicz, W. Rose, Ch. Morley oraz K. i F. Polonikowie. O pierwotnej siedzibie Słowian pisał J. Czekanowski.

Lektura trzydziestu roczników jest niezwykle pastorałowa. Czego tam nie ma! Mimo wielkich luk! Tak np. ośmielając się na recenzje książek Dyboskiego. Oto co mówi krytyk o jednej z nich: „Dyboski przypuszczalnie nigdy nie wyświadczył nam większej przysługi niż przez danie nam tego rozsądnego i silnego przedstawienia literatury, która rzadko dyskutuje się bez denuncjacji i superlatyw”. Pleknie mówi W. J. Rose w innym miejscu o Konarskim, że „wiek oświeceniowy w Europie zna niewiele ludzi bardziej skromnych od Konarskiego, który by z sobą mniej mówił lub psiał”. Z oświeceniowym uczuciem czytamy dziś artykuł z Ludkiewicza, w którym autor domaga się dla Polski kolonii w Afryce. Ciekawy pod wielu względami jest artykuł Sikorskiego napisany tuż przed wybuchem wojny. Prócz kilku lansusów (nawet silne polskie lotnictwo) ocena wyników nadchodzących jest wyjątkowo trafna. Między innymi jest tam mowa o agresji z dwu stron i o wojnie biskawicznej: „sztab główny przygotowuje możliwie najsilniejsze uderzenie, które — jak się spodziewa — będzie miążdzące. Wykona je wojsko zmotywowane wsparte potężnym lotnictwem”.

Mimo bogactwa materiałów nie mogę się oprzeć wrażeniu, że mo-

głoby ono być jeszcze większe. Nie można również powiedzieć, żeby materiały polskie napływały wedle jakiegoś określonego planu (z nielicznymi wyjątkami). W literaturze wiele postaci wybitnych pominięto, wiele potraktowano po macoszu a inne omawiano niewspółmiernie często. Pasek byłby wart eksportu na zachód, Krasicki, Słowacki, Norwid i Kraszewski aż się proszą o większą uwagę. Brak również zupełnie Orzeszkowej, Zapolskiej i prozaików dwudziestolecia. Ze sztuką jest zupełnie źle. O architekturze zgoła nic nie było. Sprawy religijne też są reprezentowane słabo. Dziwi mnie brak rzetelnej pracy o Ziemiach Odzyskanych. Tyle lat już upłynęło od ich powrotu a nikt nie uważał za stosowne przedstawić i naświetlić ich

problemu z polskiego punktu widzenia na łamach czasopisma, w które sięga każdy Anglosas interesujący się Europą Wschodnią. Należy żywić nadzieję, że w przyszłości kompetentni naukowcy wniosą obfitszy wkład w to bądź co bądź największe okno wystawowe Słowiańszczyzny na Zachodzie. A Redakcji i współpracownikom „The Slavonic Review” winniśmy wdzięczność za solidny wysiłek dokonywany bez względu na koniunkturę polityczną i życzyć czasopiśmu dalszego pomyślnego rozwoju.

Florian Śmieja

*) The Slavonic Review” wydaje School of Slavonic and Eastern European Languages, 1, Malet St. London, W. C. 1.

WOŁANIE

„Pani Ireneo-o-o!” — Nasyconą słońcem i ciszą kłatką schodową rozdarł wysoki kobiecy głos. Byłam już na podwórzu i przyspieszyłam kroku w nadziei, że mi się uda złapać autobus na spłukaną morzem plażę. W tej samej jednak chwili na różnych wysokościach trzypiętrowego budynku „delegatury”, jak kukulki w zegarach powyskakiwały w oknach głowy kolegów i koleżanek biurowych, wołając z kpiarską usłużnością,

— „Pani Ireneo-o-o! Pani Ireneo-o-o!”

— No idę, idę — burknęłam kłótliwie, jak kucharka, której odwołano wychodnie. Wracałam powoli, napeczniała różnymi sprawami Biblioteki Polsko-Indyjskiej, jak gąbka wodą. Jakże inaczej wszystko wyglądało parę miesięcy temu, gdy została przydzielona pani Wandzie Dymowskiej do pomocy. Z jakimże impetem zbiegałam ze schodów swego dawnego biura, z głową lekko jak balonik, by rzucić się entuzjastycznie w ramiona Polki w induskim stroju. Zaszleściło zielone sari, polskie szare oczy popatrzyły na mnie zyczliwie, wyczekująco.

— Biblioteka Polsko-Indyjska? Propaganda? Stowarzyszenie Polsko-Indyjskie? Damy sobie radę, pani Wando, wszystko pójdzie jak z płatka — puszyłam się bezpodstawnie.

Ale po paru miesiącach okazało się, że ta ciężka lokomotywa, jaką była Biblioteka Polsko-Indyjska, ciągnąca za sobą propagandę, Stowarzyszenie Polsko-Indyjskie i pomniejsze wagoniki z napisami: ważne, pilne, naleychniastowe — wleczę się ciężko sapiąc, a pracy, zamiast ubywać, z dnia na dzień przybywało. Teżki puchły od korespondencji, ekspozytów przygotowane na wystawę popłynęły w monsunowej wilgoci, na zbiór książek rzuciły się pilnie białe mrówki.

Pani Wanda, mimo marnego zdrowia pracująca po 18 godzin na dobę, nigdy nie traciła ducha. Ja, młoda i zdrowa, już spałam w przewrotnym pokoju pod dzień i noc pracującym wiatrakowym dużym wentylatorem zawieszonym u sfitu, gdy w zatłoczonym książkami papierami dusznym pokoiku pani Wandy jeszcze stukala maszyna. Jeszcze spałam, gdy tam już stukala maszyna. A może przez całą noc? Nigdy nie widziałam pani Wandy zmęczonej ani też słyszałam, aby się skarżyła na przepracowanie.

Wanda Dymowska przyjechała do Indii w 1935 roku, poznała je, pokochała i przybrała imię Umadevi zamknęła się w asramie. Ciszę kontemplacji przerwała wojna. Konsulat R.P. w Bombaju zwrócił się do pani Dymowskiej jako zadomowionej w Indiach o pomoc; chodziło o zebranie funduszy na wysyłkę paczek do Rosji. Umadevi rzuciła się w wir ważkich, a niewdzięcznych spraw polskich. Prośbę konsultatu przyjęła jak wezwanie do wojska. A była bardzo potrzebna konsulatowi. Któż lepiej od niej znał środowisko, kłóć miał więcej przyjaciół w Indiach, kłóć mógł się pozyszczyć serdeczną przyjaźnią z Gandhim?

Szerokim strumieniem popłynęły indyjskie rupie do kasy P.C.K. Zakupione za nie lekarstwa i odzież odjechały do Rosji. Gdy ukończono akcję wysyłki paczek dla deportowanych Polaków, konsulat zaproponował pani Dymowskiej i acę w dziale propagandy, Umadevi nie odmówiła, bo czuła, że jej tego uczynić nie wolno. „Pokazać Polskę Indiom, a Indie Polsce” — stało się jej hasłem. Zorganizowała instytucję „Biblioteka Polsko-Indyjska”, której zadaniem było wydawanie książek, broszur informacyjnych, biuletynu, urządzanie imprez i kompletowanie dużego księgozbioru. Umadevi wyruszyła z odczytami o Polsce poprzez całe Indie, z miasta do miasta. Po tem już tylko na parę tygodni

Warszawy na barwnej okładce, najczęściej wyciągały się ręce zaproszonych gości. Po otwarciu jej na pierwszej stronie zdziwione oczy padły na list Gandhiego pisany do Polaków podczas powstania.

Nadeszły ciężkie dla uchodźstwa w Indiach czasy. Zwinięcie polskich placówek; delegatur i konsulatów, niepewność jutra, smutny koniec wojny nieprzebranej, przyjazd repatriacyjnej misji warszawskiej. W chwilach tych pani Wanda była przy uchodźczym w osiedlu polskim Valivade. Podtrzymywała ich na duchu, szukała dróg, które dałyby się już z Indii skierować ruch uchodźców na miejsce stałego osiedlenia, wygłaszała odczyty.

Misja warszawska wyjechała pogebiona. Zaczęły się wyjazdy do Anglii, Afryki, Libanu, Australii i paru mniejszych grup do Stanów Zjednoczonych. Osiedle przestało istnieć, a pani Wanda wróciła do swej dawnej siedziby na południe Indii i zabrała się do opracowania kilku książek mających na celu pokazanie Indii Polsce.

Jestem sobie teraz typową (brzydkie słowo, ale charakterystyczne) „hausfrau”. Latam z koszykiem z jednego końca Hammersmithu na drugi, potem z dziećmi do parku. Teraz soczek, teraz mleczko, teraz tran, teraz kąpiel, teraz spać. Jak w zegarku. Nic spokoju mi nie kłóci. Rutyna. Aż tu listonosz przynosi sporą paczkę. Gdy zobaczyłam na niej pieczęć Madras 20, serce — ten pajac na sznurku — poderwało się na baczność. W paczce kilka nowych wydawnictw Biblioteki Polsko-Indyjskiej. Aż dziw bierze, skąd pani Wanda znalazła na opracowanie ich i wydanie czas i siły. Osamotniona jak Robinson i nawet bez Piętaszka — Kaszinate — sprytnego chłopca na posyłki. Teraz nie stać pani Wandy na taki luksus.

Skąd czerpie fundusze na druk? Pamiętam jak raz do biura delegatury przyszedł niepozorny Indus, pytając o Umadevi, bo miał dla niej list. Wrezył kopertę sekretarce i oddał się szybko, zanim zdążyła poprosić panią Wandę. Z koperty wypadł banknot 1000 rupiowy (równoważący 130 funtów). Któż szybko dogonił tajemniczego ofiarodawcę pytając, co to ma znaczyć, na jaki cel i komu się to należy podziękowanie.

— Umadevi sama będzie najlepiej wiedziała, co z tym zrobić — odrzekł. Stworzyli światła jest ofiarodawcą wszystkiego, co nam życie przynosi — dodał i oddał się pośpiesznie.

Pieniądże pani Wanda zdobywa i... oszczędza na samej sobie. Nieprądopodobna do ekonomia, ale tak jest. I z tego, czego się nie ma, można też oszczędzić.

Zaczęłam przeglądać książki. Wszystkie w jednakowych pomarańczowych okładkach — kolorze słonecznych Indii. Drukowane w małym drukarni, rękoma Indusów nie znających polskiego alfabetu, ale błędów drukarskich nie tak wiele. To strona zewnętrzna. A treść? „Serce Gopi” — R. Taj — tłumaczyła W. Dymowska — alegoryczna opowieść współczesnej autorki, o partii na motywach zaczerpniętych z filozofii i mitologii indyjskiej. „Razem pod wiatr” — W. Dymowska — zbiór prozy poetyckiej związanej tematycznie i ideowo z Indiami.

Antologia pieśni indyjskiej — przekłady W. Dymowskiej. Tom I. Sanskryt: Wjytki z Mahabharaty, Ramajany, Księgi Rigwedy i religijnej poezji buddyjskiej. Tom II. Tamil. Wybór poematów piśmiennictwa tamilskiego (Tamil jest językiem drawidyjskim, sanskryt aryjskim. Cywilizacja drawidyjska, zrodzona w południowych Indiach, jest starsza od aryjskiej).

Wszystkie opatrzone przedmową, bogatymi przypiskami, objaśnieniami mitologii indyjskiej oraz ilustracjami.

I list pani Wandy. Zeby się tym zająć, żeby się dostały do rąk polskich czytelników. „Kochana Pani Wando! ... więcej pulem i piekami, byczkami w tomacie z Polski, kielbasami z Francji, gabinetem kosmetycznym, nylonami, niż książkami... Skoro już pani te książki wydawała, serce w miarę włożyła i część życia, to niech ja Pani da teraz na przemiał, albo lepiej niech jej zjedzą białe madraskie mrówki”.

WŚRÓD KSIĄZEK I CZASOPISM

ZGON FORTUNATA STROWSKIEGO. Dnia 12 lipca zmarł w jednej z klinik paryskich, w wieku lat 86, pisarz i historyk literatury francuskiej Fortunat Strowski.

Rodzina jego pochodziła z Polski, stąd polskie nazwisko. Strowski wykładał najpierw w liceach w Albi, Nimes i Lakanal, później zaś objął katedrę historii literatury francuskiej na Sorbonie, jako następcą Emila Faguet.

Ogłosił liczne prace z zakresu literackiego, nacechowane zawsze dużą erudycją. Znanie jest jego wydanie krytyczne „Essais: Montaigne”, oraz dzieło o Pascalu („Pascal et son temps”).

Strowski był współpracownikiem szeregu czasopism, m.in. „Revue de Deux Mondes”. Był członkiem Akademii Nauk Moralnych i Politycznych; odznaczony był krzyżem oficerskim Legii Honorowej.

W POSZUKIWANIU SKARBÓW PRZESZŁOŚCI. Specjalna ekspedycja archeologiczna pod kierownictwem dr. Chénévise przeprowadza obecnie badania dna morskiego w obszarach na południe od Korsyki. Baza ekspedycji stanowiła składowa i bezudna wyspa Lavezzi. Członkowie ekspedycji spodziewają się znaleźć na dnie morza rzeźby i wazy antyczne. Przeprowadzane są też badania fauny i flory morskiej.

PAMIĘTNIKI PAPANEA. W tłumaczeniu angielskim ukazały się pamiętniki b. kanclerza Rzeszy Niemieckiej von Papena (Franz von Papen; „Memoirs”, André Deutsch, cena 25 s.). Recenzje ich w prasie brytyjskiej są na ogół bardzo krytyczne. W „Observer” z d. 13 czerwca Harold Nicolson pisze m.in.: „Ta fascynująca książka, niezależnie od materiału historycznego, jakiego dostarcza, oświetla nam pewną stronę charakteru niemieckiego, którą nie zawsze rozumiemy. Pokazuje nam ona, jak nawet uczyli Niemiec zdołał się podporządkować swe sumienie indywidualnie sumieniu grupowemu i przynajmniej podległ konwencji swego środowiska. W paczce kilka nowych wydawnictw Biblioteki Polsko-Indyjskiej. Aż dziw bierze, skąd pani Wanda znalazła na opracowanie ich i wydanie czas i siły. Osamotniona jak Robinson i nawet bez Piętaszka — Kaszinate — sprytnego chłopca na posyłki. Teraz nie stać pani Wandy na taki luksus.

Skąd czerpie fundusze na druk? Pamiętam jak raz do biura delegatury przyszedł niepozorny Indus, pytając o Umadevi, bo miał dla niej list. Wrezył kopertę sekretarce i oddał się szybko, zanim zdążyła poprosić panią Wandę. Z koperty wypadł banknot 1000 rupiowy (równoważący 130 funtów). Któż szybko dogonił tajemniczego ofiarodawcę pytając, co to ma znaczyć, na jaki cel i komu się to należy podziękowanie.

— Umadevi sama będzie najlepiej wiedziała, co z tym zrobić — odrzekł. Stworzyli światła jest ofiarodawcą wszystkiego, co nam życie przynosi — dodał i oddał się pośpiesznie.

Pieniądże pani Wanda zdobywa i... oszczędza na samej sobie. Nieprądopodobna do ekonomia, ale tak jest. I z tego, czego się nie ma, można też oszczędzić.

Zaczęłam przeglądać książki. Wszystkie w jednakowych pomarańczowych okładkach — kolorze słonecznych Indii. Drukowane w małym drukarni, rękoma Indusów nie znających polskiego alfabetu, ale błędów drukarskich nie tak wiele. To strona zewnętrzna. A treść? „Serce Gopi” — R. Taj — tłumaczyła W. Dymowska — alegoryczna opowieść współczesnej autorki, o partii na motywach zaczerpniętych z filozofii i mitologii indyjskiej. „Razem pod wiatr” — W. Dymowska — zbiór prozy poetyckiej związanej tematycznie i ideowo z Indiami.

Antologia pieśni indyjskiej — przekłady W. Dymowskiej. Tom I. Sanskryt: Wjytki z Mahabharaty, Ramajany, Księgi Rigwedy i religijnej poezji buddyjskiej. Tom II. Tamil. Wybór poematów piśmiennictwa tamilskiego (Tamil jest językiem drawidyjskim, sanskryt aryjskim. Cywilizacja drawidyjska, zrodzona w południowych Indiach, jest starsza od aryjskiej).

Wszystkie opatrzone przedmową, bogatymi przypiskami, objaśnieniami mitologii indyjskiej oraz ilustracjami.

I list pani Wandy. Zeby się tym zająć, żeby się dostały do rąk polskich czytelników. „Kochana Pani Wando! ... więcej pulem i piekami, byczkami w tomacie z Polski, kielbasami z Francji, gabinetem kosmetycznym, nylonami, niż książkami... Skoro już pani te książki wydawała, serce w miarę włożyła i część życia, to niech ja Pani da teraz na przemiał, albo lepiej niech jej zjedzą białe madraskie mrówki”.

W tym dniu zmarł John C. Mackay, główny reporter dziennika szkockiego „Inverness Courier”. Lat temu blisko dwadzieścia, w lecie r. 1933, wstąpił się on donosić o tajemniczym potworze, wynurzającym się jakoby z jeziora Loch Ness. Szereg osób, uchodzących za wiarygodne, łącznie z miejscowym pastorem, stwierdził, że widział tego potwora na własne oczy — i w ten sposób północna Szkocja zyskała atrakcję turystyczną, która sięgała obryzmy tłumy. Jak zauważa „Evening News”, Mackayowi z pewnością nawet nie przyszło na myśl, że jego reportaż spowoduje „największą falę masowej halucynacji, jaką nasze stulecie widziało”.

Jeszcze w r. 1947 akwarium w Brighton o-fiarowało 1000 funtów za dostarczenie mu „potwora”. Zdaniem uczonych, którzy oglądali fotografie tego monstrum, jest to (lub był) po prostu fok.

CORAZ MNIEJ DZIECI W ANGLII. Wedle szacowań Generalnego Rejestratora (Registrar General) dzieł w wieku poniżej 15 lat stanowiący w polowie r. 1951 22,2 proc. ogólnego zaludnienia Anglii i Wali, podczas gdy pół wieku temu udział ich w zaludnieniu wyrażał się cyfrą 32,4 procent.

Na ogólną liczbę 43.800.000 mieszkańców Anglii i Wali mężczyzn było 21.049.000, kobiet 22.751.000. Liczba kobiet przewyższa więc liczbę mężczyzn o 1.702.000.

Ludność Wielkiego Londynu wyniosła w polowie r. 1951 przypuszczalnie 8.350.380 osób. Ze wszystkich angielskich „counties” najwięcej ludność posiada Lancashire (5.090.000).

ZAPISKI LONDYSKIE

POLSKA WYSTAWA ARCHITEKTURY. Przy Cromwell Road nr 7 odbywa się w stała prac studentów i dyplomantów Szkoły Architektury przy Polish University College. Szkoła ta, jak wiadomo, założona została w Liverpoolu i tam ukończyła jej 50 architektów Polaków. Przeniesiona do Londynu stała się jednym z wydziałów P.U.C. i jak dotąd ukończyła ją dalszych 130 studentów. Razem więc do tej pory 180 architektów Polaków otrzymało dyplomy w Anglii. Liczba ta dojdzie prawdopodobnie do 240 w lecie 1954 r., kiedy ma nastąpić likwidacja szkoły.

W wystawie tegorocznej bierze udział 23 dyplomantów. Wystawa otwarta jest codziennie od 10 rano do 7 wieczorem; wstęp wolny.

ZGON „WYNAJAZCY” POTWORA Z LOCH NESS

W tych dniach zmarł John C. Mackay, główny reporter dziennika szkockiego „Inverness Courier”. Lat temu blisko dwadzieścia, w lecie r. 1933, wstąpił się on donosić o tajemniczym potworze, wynurzającym się jakoby z jeziora Loch Ness. Szereg osób, uchodzących za wiarygodne, łącznie z miejscowym pastorem, stwierdził, że widział tego potwora na własne oczy — i w ten sposób północna Szkocja zyskała atrakcję turystyczną, która sięgała obryzmy tłumy. Jak zauważa „Evening News”, Mackayowi z pewnością nawet nie przyszło na myśl, że jego reportaż spowoduje „największą falę masowej halucynacji, jaką nasze stulecie widziało”.

Jeszcze w r. 1947 akwarium w Brighton o-fiarowało 1000 funtów za dostarczenie mu „potwora”. Zdaniem uczonych, którzy oglądali fotografie tego monstrum, jest to (lub był) po prostu fok.

CORAZ MNIEJ DZIECI W ANGLII. Wedle szacowań Generalnego Rejestratora (Registrar General) dzieł w wieku poniżej 15 lat stanowiący w polowie r. 1951 22,2 proc. ogólnego zaludnienia Anglii i Wali, podczas gdy pół wieku temu udział ich w zaludnieniu wyrażał się cyfrą 32,4 procent.

Na ogólną liczbę 43.800.000 mieszkańców Anglii i Wali mężczyzn było 21.049.000, kobiet 22.751.000. Liczba kobiet przewyższa więc liczbę mężczyzn o 1.702.000.

STYCE Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ZYCIE, 13 Praed Mews, London W.2. Telefon: Redakcja i Administracja: AMB 8878. Drukarnia PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie w wyjątkiem sobót, niedzieli i świąt tylko od godz. 9.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; w wyjątkiem sobót, niedzieli i świąt. Redakcja świąteczna w wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżeniu swobodnie dołączony znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznym 4/6, kwartalnym 13/6, półrocznym 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „c r o s e d” (//), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre, CENY OGŁOSZENIOWYCH: 1 cał przez 1 lam — 6/-, w tekście 80 proc. drożej, na stronie 1 i 2 100 proc. drożej. Prenumerata zagranicą: ARGENTYNA: cena 1 ega. — 3 paco, kwartalnie 26 paco, półrocznie 52 paco. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca”, Av. Leandro N. Alem, 641 — BUENOS AIRES. BELGIA: miesięcznie 80 fr., kwartalnie 80 fr. Przedstawiciel: E. Kulakowska, 101, Augusta Lambotte, Bruxelles 3. — FRANCJA: miesięcznie 180 fr., kwartalnie 640 fr. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca”, rue St. Louis en l'Île, Paris IV — NIEMCY: miesięcznie 250 DM. Przedstawicielstwo „Informacja Prasowa”, (23) Quakerbrück, Shiphort 2 i St. Mikulicz (13 B) München 84, Seebarnstr. 4, Bar 16 B/3 — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.80 fra. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Secton Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. — CZECHOSŁOWACJA: miesięcznie 3.80 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurovski, Angspan 6, Lund, Szwajca. Szwed. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą wyjątkowo 28. pocztą lotniczą 68. Przedstawicielstwo: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N. J. 2) Cyril Publications, 888, Wagar 6A, Ulica. 3) E. Baginski, 3590 Helen Avenue, Detroit 7, Michigan 4) St. Palomowski 1076 N. Marshallfield, Chicago 33, Illinois.